

**jak dobrze
pokowboić**

8-9

**księga
pamięci**

11

**wojna
dywanowa**

12

horoskop

16

KONTAKTY

ŁOMŻYNSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

4

(80)

KONTAKTY
25.IV.1982
Cena 12 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

STANISŁAW ZIELIŃSKI

powieszeni na słonecznym promyku

RODZINNA HISTORIA POLSKI

chciałem mieć własną armię

Historię opisują zazwyczaj naukowcy. Wyważają każdą z ocen, skrupulatnie gromadzą potwierdzające ich słuszność dokumenty. Ale, niezależnie od podręcznikowej, każdy z nas ma także własną wizję dziejowych przemian, wydartą pamięci swych bliskich. Tę właśnie — wzbogaconą o indywidualne losy — chcemy prezentować w cyklu „Rodzinna historia Polski”.

Z Bogumiłem Kunickim, dyrektorem Muzeum Okręgowego w Łomży; historykiem, zbieraczem cynowych żołnierzyków; człowiekiem, o którym w jego rodzinnym mieście powiadają „Maciek wszystko wi” — rozmawia Henryk Gała.

— Wszyscy mówią Maciek, a przecież jesteś Bogumił.

— Mam jedno imię, Bogumił, ale miało być i drugie — Maciej. Wszystkiemu winien kościelny, który w czasie mojego chrztu naraził się ojcu. Posprzeczczało się o coś, może trzeba było za drugie imię więcej dopłacać, dość że ojciec zrezygnował z zaproponowanego przez siebie. Podobno machnął ręką i powiedział, że i tak wszyscy będą mówili na mnie Maciek.

— Ojciec umiał przewidywać.

— Bardziej chyba nie lubił kościelnych i, chociaż było to czterdzieści kilka lat temu, i w Kaliszu, mógł sobie pozwolić na okazywanie tego — należał do grupy dość znanych działaczy PPS.

— No tak, ale kościelny także mógł sobie pozwolić na upór.

— Myślisz, że dzisiaj byłby bardziej uległy?

— W zależności od przynależności... ojca, ale dajmy spokój tym sprawom — mnie idzie o Twoje żołnierzyki. Mam w związku z nimi coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Na początku znajomości podarowałeś mi jednego, malowanego przez siebie...

— Wszystkie miniatury maluję sam. Zaczęło się to zainteresowanie w dzieciństwie. Trochę z przypadku, a trochę normalną kolejną rzeczą. Czym bowiem mógł pasjonować się dziesięcioletek w kilka miesięcy po zakończeniu wojny? Jasne, że żołnierzami, bronią.

W 1946, a może 45 roku, w prywatnym sklepiku zobaczyłem cynowe miniaturki żołnierzy: prymitywne, dwustronne, malowane na zielony kolor, dość niedbale odlewane, ale za to wiernie oddające szczegóły umundurowania i uzbrojenia.

Drugi przypadek spowodowała moja czytelnicza „choroba”, — nieustanny głód książki. Brakowało ich,

ŚWIĘTO PRACY. Tegoroczne święto 1 Maja obchodzone będzie w Łomży i województwie w sposób odmienny niż w latach poprzednich. Powstał Wojewódzki i Miejski Komitet Obchodów Święta Pracy, w którego skład weszli przedstawiciele władz państwowych, partii, stronnictw politycznych, a także reprezentanci organizacji społecznych i młodzieżowych, weterani ruchu robotniczego, rolnicy i robotnicy. Komitet przedstawiając własne propozycje, wzbogacane inicjatywami zgłaszanymi przez organizacje polityczne, społeczne i liczne instytucje, przyjął program obchodów, zawierający: spotkania i robocze wizyty w zakładach pracy z udziałem członków egzekutywy KW PZPR i Komitetów Obchodów Święta Pracy, uroczyste otwarte zebrania partyjne, zwiedzanie zakładów pracy przez grupy młodzieży w celu zapoznawania jej z produkcją, spotkania weteranów ruchu robotniczego z młodzieżą w szkołach.

Sekretariat KW PZPR gościł będzie weteranów ruchu robotniczego i pracy, którzy otrzymają okolicznościowe listy z pozdrowieniami. W przeddzień 1-majowego święta odbędzie się uroczysty koncert dla mieszkańców naszego miasta, a 1 maja na placu Niepodległości zostanie zorganizowany wiec ludzi pracy.

We wszystkich gminach odbędą się uroczyste akademie, apele w szkołach, spotkania w zakładach pracy oraz liczne imprezy kulturalne, sportowe i rekreacyjne.

SEKRETARIAT KW PZPR w dniu 15 bm. dokonał zmian organizacyjnych w działalności Rejonowych Ośrodków Pracy Partyjnej, dostosowując ich strukturę do struktury i zakresu działania ośrodków pracy ideowo-wychowawczej przy komitetach gminnych partii. Wojewoda łomżyński poinformował o realizacji wniosków zebranych podczas ubiegłorocznych kampanii sprawozdawczo-wyborczych organizacji młodzieżowych (ZSMP zrzesza 16,6 tysięcy członków, ZMW — 2 tysiące, a Łomżyńska Chorągiew ZHP liczy 24 900 członków). Najważniejsze sprawy: zapewnienie możliwości nauki i zdobycia zawodu poza szkołami absolwentom szkół podstawowych (dotyczyło to 30 proc. tej młodzieży) i problem internatów w Łomży, nie budzący takiej uwagi i zainteresowania społeczeństwa, jak sprawa żłobków i przedszkoli, choć nie mniej ważny, przede wszystkim dla młodzieży pochodzącej ze wsi. Obie uznano za wymagające pomocy władz wojewódzkich. Jeśli zaś idzie o następne, sekretariat polecił je uwadze, aktywności i staraniom samej młodzieży. Dotyczy to wykorzystania pomieszczeń Ochotniczych Straży Pożarnych na placówki kultury, udostępniania młodzieży pozaszkolnej boisk i innych urządzeń sportowych szkół wiejskich, jak również poszerzenia bazy turystyczno-wypoczynkowej dla harcerzy. Zwrócono także uwagę na to, aby organizacje młodzieżowe selekcjonowały kilka spraw, których realizacji podjęliby się ich członkowie. Niewiele, ale konkretnie i do końca — można w skrócie określić to zalety, ważne wobec zaplanowanego na maj, plenarnego posiedzenia KW PZPR na temat młodzieży.

W DNIU KOMBATANTA, 15 kwietnia br., odbyło się posiedzenie Prezydium Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD, organizacji liczącej w województwie 5421 członków. Druga część uroczystości odbyła się w Wysockim Mazowieckim, gdzie przekazano sztandar miejscowemu kołu ZBoWiD-u. Następnie pełnomocnik KOK-u w województwie łomżyńskim, płk dypl. Lucjan Zapala, i szef WSzW, płk Józef Piotrowski, udekorowali 5 kombatanów medalami „Za udział w wojnie obronnej 1939 r.”, a 10 kombatanów — „Medalami Zwycięstwa i Wolności”.

W ŁOMŻY ODBYŁO SIĘ zebranie Prezydium Wojewódzkiego Komitetu Stronnictwa Demokratycznego. Informację na temat rozwoju kultury w województwie w stanie wojennym przedstawił dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki UW w Łomży, Janusz Berner. W dyskusji wysunięto wątpliwości, na ile dążyć się zrealizować wcześniej ustalone programy. Zwrócono uwagę, że więcej miejsca należy poświęcić treściom przeznaczonym dla młodzieży, a także przeglądom dorobku artystycznego twórców z województwa. Prezydium postanowiło zwołać w dn. 29 IV Plenum WK SD w Łomży na temat „Zadania Wojewódzkiej

Organizacji SD w aktualnej sytuacji politycznej i społeczno-gospodarczej”.

W PODSTAWOWYCH ORGANIZACJACH partyjnych dyskutowany jest projekt deklaracji ideowej PZPR „O co walczymy? Dokąd zmierzamy?” W następnym numerze rozpoczynamy druk pełnego tekstu Deklaracji „O co walczymy” Polskiej Partii Robotniczej z roku 1943.

WOJEWÓDZKI OŚRODEK KSZTAŁCENIA Ideologicznego przystąpił do realizacji szerokiego programu szkoleń. Od 5 maja w 3-dniowych kursach stacjonarnych w Ośrodku Szkoleniowym KC PZPR w Mierkach wezmą udział wszyscy sekretarze z gmin oraz pracownicy polityczni Komitetu Wojewódzkiego i gminnych; razem około 280 osób w czterech grupach. Wcześniej przeszkolono tam lektorów KW i aktyw propagandowy.

W SZESCIU REJONOWYCH OŚRODKACH Pracy Partyjnej odbywają się seminaria dla aktywów, na których omawiane są podstawowe problemy ideologiczne i gospodarcze, w szczególności normy lenińskie w partii, zasady demokracji socjalistycznej i warunki realizowania reformy gospodarczej.

W DRUGIEJ POŁOWIE MAJA w ROPP-ach na jednodniowych szkoleniach spotkają się wszyscy członkowie egzekutywy instancji I stopnia, a także sekretarze podstawowych organizacji partyjnych.

GOSPODARKA WOJEWÓDZTWA ŁOMŻYŃSKIEGO w marcu charakteryzowała się, w porównaniu z lutym br., wzrostem wartości sprzedaży o 42,4 proc. i wydajnością o 42,5 proc. przy bardzo nieznacznym spadku zatrudnienia (0,1 proc.) oraz wzroście wypłat z osobowego funduszu płac o 4,4 proc. Mniej korzystnie przedstawiają się te wyniki w porównaniu do ubiegłego roku (dane dot. I kwartału), bo wartość sprzedaży była mniejsza o 12,5 proc., wydajność pracy o 8,1 proc. Zatrudnienie zmalało o 4,8 proc. przy zwiększonych o 10,8 proc. wypłatach z osobowego funduszu płac.

Bardziej optymistyczne są wyniki i ich porównania w dziedzinie rolnictwa. W sposób widoczny wzrósł w bieżącym roku skup zbóż (49-krotny wzrost wskazuje przede wszystkim, jak mało skupiono zbóż w ub. roku), a także skup żywea rzeźnego (o 21 proc.), przy nieznacznym spadku w stosunku do lutego br. Natomiast skup mleka i jaj był wyższy zarówno w stosunku do marca ub. roku, jak i lutego br. W porównaniu z ub. rokiem — o 37 proc. zmalało zaopatrzenie w nawozy sztuczne, wzrosła o 166,7 proc. sprzedaż wapna nawozowego. Nie najlepiej przetrzymały zimy jesiennie. Na wielu plantacjach wystąpiła pleśń śniegowa.

GOSPODARSTWA DOMOWE znajdowały się nadal pod naciskiem podwyższonych cen żywności. Wydatki na nią stanowiły w marcu kwotę wyższą o 47,5 pkt od uzyskanej w województwie na wszystkie towary.

PIENIĘŻNE PRZYCHODY LUDNOŚCI przewyższają dynamikę wydatków, choć w przeciągu I kwartału zanotowano zmniejszenie tej przewagi z 48,7 pkt. w styczniu do 28,6 pkt. w marcu. Średnia płaca w przemyśle uspołecznionym wyniosła w marcu (bez rekompensat) 6951 złotych na jednego zatrudnionego, (czyli) znacznie poniżej średniej krajowej.

WPROWADZENIE PRZEPISÓW o stanie wojennym zmieniło w porównaniu do ub. roku sytuację na rynku pracy. W marcu zanotowano 10-krotny wzrost zarejestrowanych absolwentów szkół podstawowych poszukujących pracy, przy wzroście wolnych miejsc dla tej grupy osób o 56,5 proc.

FUNDUSZ AKTYWIZACJI ZAWODOWEJ przy Rejonowych Zakładach Gospodarki Komunalnej w Łomży przeznaczony jest przede wszystkim na wynagrodzenie osób skierowanych przez wydział zatrudnienia. Od 15 stycznia 150 osób korzystało z tego funduszu. Większość z nich do 12 grudnia ub. roku uniknęła zatrudnienia. W chwili obecnej „na utrzymaniu” funduszu (ok. 5 tysięcy złotych miesięcznie) pozostaje tylko 70 osób; pozostałych 80 zatrudniły na stałe różne łomżyńskie zakłady pracy.

Z UDZIAŁEM PRZEDSTAWICIELI Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego, Komisji Współdziałania PZPR, ZSL, SD i pełnomocnika KOK-u odbyło się 17 kwietnia w Łomży spotkanie z przewodniczącymi Obywatelskich Komitetów Odrodzenia Narodowego z terenu województwa. I sekretarz KW PZPR w Łomży, Włodzimierz Michałek, przypomniał dotychczasową działalność komitetów: „Ruch odrodzenia narodowego powstał z oddolnych potrzeb, stał się konsekwencją ruchu ocalenia narodowego. W marcu w Łomżyńskim w 27 komitetach pracowało 700 działaczy. W 50 proc. byli to członkowie PZPR, około 30 proc. stanowili bezpartyjni. Niepokojący jest fakt małego udziału młodzieży w Obywatelskich Komitetach Odrodzenia Narodowego. Podstawowym zadaniem, które przyjęły na siebie OKON-y, jest działanie skierowane na wygaszanie i rozładowywanie konfliktów. Komitety interesują się różnymi dziedzinami życia. Aktywnie skup żywca, doskonałą funkcję wykonanie handlu, działanie komisji specjalnych. Czuwają nad wprowadzeniem reformy gospodarczej. Dotychczasowa działalność OKON-ów, ich skuteczność pracy wskazują, że znajdują się one na trwałe w systemie politycznym państwa”. Uczestnicy dyskusji podzielili się doświadczeniami z działalności Komitetów, które reprezentowali. Wiele miejsca poświęcili rozwiązaniom organizacyjnym. Wskazywano na fakt, że komitety powstają jako reprezentacje społeczności gminnej, miejskiej i zakładowej. Wszędzie jednak cele są podobne — skierowane na rozwiązanie problemów socjalno-bytowych obywateli. W wypowiedziach powtarzał się problem aktywizacji młodzieży i zachęty obywateli do pracy w komitetach odrodzenia narodowego. Kontrowersje budziła też, czy OKON-y powinny być społecznym organem doradczym wobec administracji, czy mogą (a niekiedy muszą) ją wyręczać.

Wojewoda Jerzy Zientara ustunkował się do problemów i wątpliwości omawianych w dyskusji. Podkreślił fakt, że działalność OKON-ów opiera się na usankcjonowanych politycznie podstawach. Komitety przede wszystkim powinny inspirować działania administracji, a nie gdy to nie wystarcza, muszą same dać przykład skutecznego działania.

WOLNY RYNEK, 16 kwietnia na łomżyńskich targowiskach płaciło się: 16—18 złotych za parę jaj, 50

CIĄG DALSZY NA STR. 15

punkt widzenia

przyglądając się reformie

KAZIMIERZ LEMANSKI, naczelnik Urzędu Miasta i Gminy w Kolnie: — Czynnione są ostatnie zmiany aktów i norm prawnych, regulujących status administracji państwowej i rad narodowych. Spodziewamy się, czego one będą dotyczyły więc czynimy pierwsze przymiarki do tej nowej sytuacji prawnej i ekonomicznej. Trzy „S” witamy raczej życzliwie, bo mobilizuje nas do pocucia się w większym stopniu, niż to było dotychczas, gospodarzami swojego terenu.

Jeśli rzeczywiście dojdzie do tego, że administracja będzie utrzymywać się ze świadczeń i podatków płaconych do jej kieszeni również przez zakłady pracy, to dla nas wcale nie będzie obojętne, jak one pracują, jaki mają profil produkcji, gdzie przekazują swoje nadwyżki. Stworzą się zatem nowe warunki i możliwości w dziedzinie inwestycji. Dotychczas o wszystkim decydował wojewoda. Teraz ośrodek ów przesunie się na Urząd Gminy: od naszych możliwości będzie zależało, czy wybudujemy sobie dworzec autobusowy, czy też nie; jeśli nie mając dużo pieniędzy, szarpiemy się na inwestycje, to tylko my będziemy za to ponosić skutki. A może rzeczywiście, aby coś wznieść bardzo potrzebnego dla mieszkańców Ziemi Kolneńskiej, przyjdzie nierzaz i docisnąć pasa — będziemy przecież gospodarzami, a w gospodarstwie różnie bywa.

W tej chwili przymierzamy się do budowy dworca autobusowego — właśnie systemem gospodarczym. Z czego mamy środki? W roku ubiegłym otrzymaliśmy 1,5 miliona złotych za zdobycie I miejsca w konkursie „Gmina Mistrz Gospodarności”. Z nadwyżki budżetowej udało się nam zaoszczędzić 800 tysięcy złotych. Jest z czym rozpoczynać.

Zamierzamy wznosić inne obiekty, bardzo potrzebne mieszkańcom Kolna: drogi, sklepy. Nie trzeba już będzie o nie nikogo prosić, czekać w kolejce. Życie chyba stanie się, przynajmniej dla naczelnika, prostsze. Bo i tak za każdą decyzję, którą musiał jeszcze zatwierdzić wojewoda, był odpowiedzialny, a jakże często nie mógł jej zrealizować w zamierzonym czasie, ponieważ interesy całego województwa nie zawsze pokrywały się z interesami jego gminy. Oczywiście, nie przeczę, wzrasta przy tym i odpowiedzialność, lecz ja się jej nie boję. Może dopiero teraz będę miał wreszcie nieskrępowane ręce, by gospodarzyć tą gminą przede wszystkim z myślą o jej interesie, a jest tutaj do zrobienia wiele, chociażby przy budowie nowych mieszkań czy remoncie starych. Na każde przedsięwzięcie trzeba będzie wygospodarować środki, bo nikt nam ich nie da. Ale także i satysfakcja będzie to, iż takim pojeździemy wozem, na jakim nas będzie stać.

wypisy z historii 21-30 kwietnia

22 IV 1870 urodził się Włodzimierz Lenin; 1923 — otwarcie portu w Gdyni; 1940 — poległ mjr. Hubal w potyczce z hitlerowcami pod Anielinem; 1945 — podpisanie Układu o Przyjaźni, Współpracy i Wzajemnej Pomocy między Polską a ZSRR; wyzwolenie obozu koncentracyjnego w Dachau; powołanie Organizacji Narodów Zjednoczonych (na konferencji w San Francisco); 1947 — otwarcie pierwszych, po przerwie wojennej, Międzynarodowych Targów Poznańskich; 1949 — I Światowy Kongres Obronców Pokoju (Paryż, Praga).

myśl z atestem

„Filozofia nowoczesna jest równie partyjna, jak filozofia sprzed dwu tysięcy lat. Walczącymi partiami są w istocie rzeczy materializm i idealizm.”

(Włodzimierz Lenin w „Materializm a empiriokrytycyzm” — „Dziela”, t. 14, W-wa 1949)

zdanie tygodnia

„Bywają przypadki, że nawet osobom, które się nie sprawdziły i nigdy chyba nie sprawdzą, wystawiana jest pozytywna ocena zaczynająca się od... formuły: akceptuje zasady socjalizmu.”

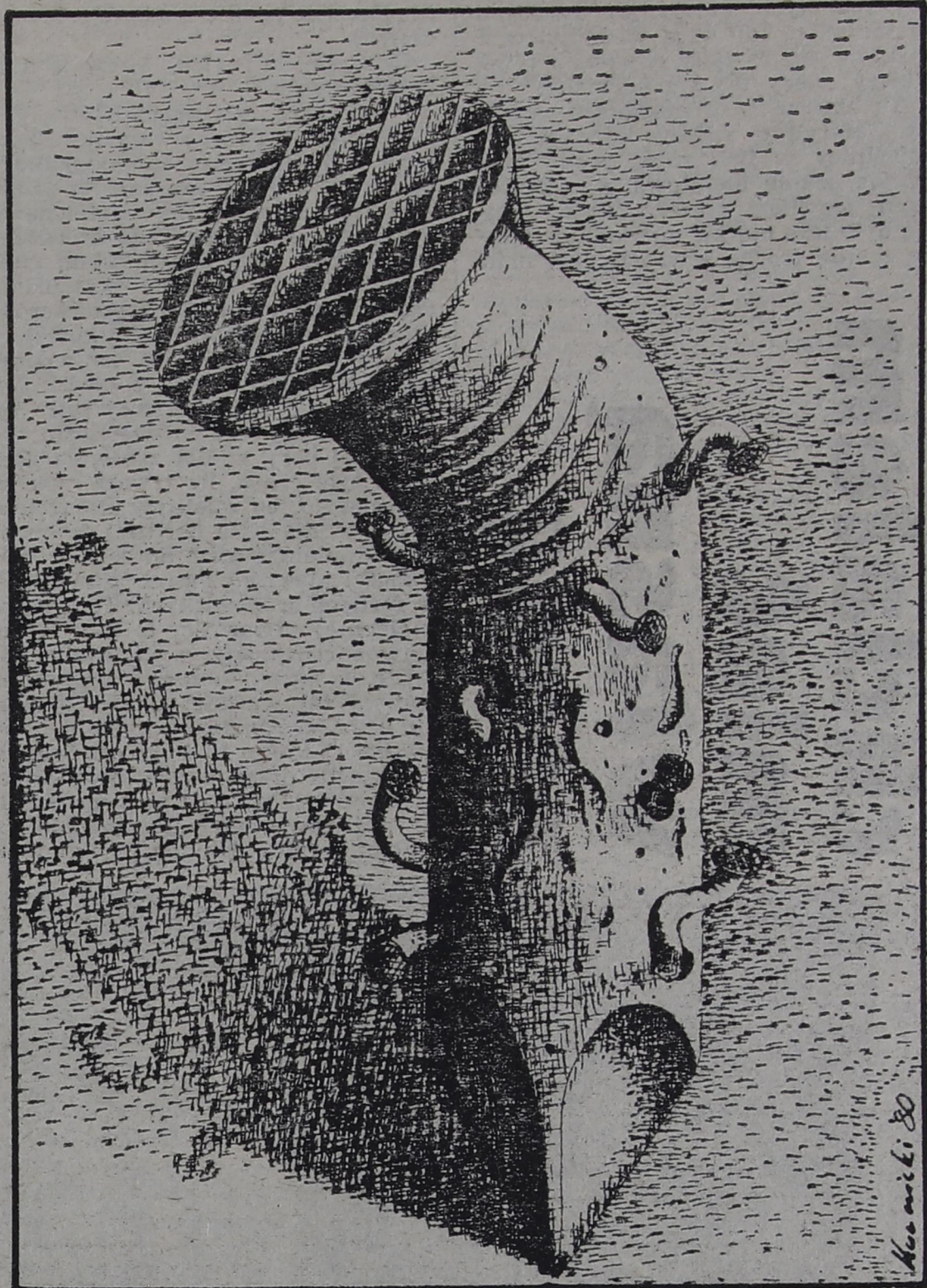
(z artykułu „Gdzie ta prawda?” o rozmowach weryfikacyjnych z pracownikami administracji państwowej, w „Serwisie informacyjnym” WSLIP KW PZPR)

MIECZYSLAW BAGINSKI, sekretarz WK ZSL w Łomży: Przede wszystkim pragnę zauważyć, że dotąd najczęściej w tej sprawie indagowano czytelników — znanych działaczy społecznych, członków partii. I to jest oczywista racja, bo to ich pismo. Ale mam swoje drogi rozumowania. Poprzez konstytucyjny zapis roli partii w naszym społeczeństwie, państwie, każdy ma prawo czuć się poniekąd współczestnikiem tej idei przewodzenia, ale i współczestnikiem w jego egzekwowaniu. Bo program partii dotyczy generalnie całego narodu, a nie pewnych wybranych kwestii członków partii. Jeśli tu nie popełniłem większego błędu w rozumowaniu to pismo partii w regionie ma być pismem dostępnym dla nas wszystkich, w tym również dla członków mojej partii — Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, dla członków SD, dla wszystkich ludzi, którzy po burzliwych miesiącach są rozkojarzeni, rozchwiani. I w tym tkwi pewna specyfika charakteru i funkcji pisma w obecnym okresie. Pismo partii ma największe prawo, przywilej i obowiązek (jak ona sama) prowadzić misję jednania społeczeństwa wokół linii odnowy i przyjętego programu reform gospodarczych, społecznych i politycznych — musi być zatem adresowane do wszystkich ludzi. Z jednym poglądem poprzednika w dyskusji zgodzą się chyba wszyscy — pismo nie może służyć obcej ideologii i wrogom ustroju.

Mnie osobiście najbardziej zależy na tym, aby pismo posłużyło przywracaniu zdeprecjonowanych wartości z kategorii: praca, prawo, władza, honor, ojczyzna.

W odniesieniu do samej tonacji treści, jakie bym widział posłużyć się pewnym porównaniem. Pokazywanie na łamach zjawisk negatywnych i pozytywnych to jak opatrzenie pewnej bezwzględnej wartości liczbowej znakiem plus lub minus. Jest ona wtedy autorytatywnie na osi liczbowej poniżej punktu odniesienia lub wyżej niż ten punkt. Na osi w matematyce jest zero — w życiu to wymiar zjawiska występujący najpowszechniej. Czy nie lepiej korzystać właśnie częściej z tej prawnej strony osi i wartości dodatnich z dobrodziejstw pedagogiki pozytywnej? Czy lepiej zająć się ściąganiem czy mobilizowaniem do dociekania? Przypuszczam, że łatwiej pisać coś, co czytelnicy kończą „ale go załatwili”, niż napisać tekst, w którym autor musi sam zakwalifikować rzecz na tej umownej osi po stronie wartości dodatnich i zrobić to w dodatku ciekawie. Łatwiej okpić Radę za przyczyną kiełbasy niż pokazać we wnętrzu moralną szamotaninę niejednego radnego w tamtych dniach. Mówiąc obrazowo: niech pismo będzie mostem, który spina wszystkie wyspy, jakie tworzy wezbrana i rozlana ostatnio rzeka uczuć, emocji, myślenia i postaw. Żywiąc nadzieję na tę funkcję (mostu) aż ciśnię się na usta: piszmy prosto z mostu. Niech pismo służy wprowadzeniu do jednego łożyska wszystkich nurtów. To i odczyn będzie taki jak w nurcie niosącym największą wodę, jaki ma zlewnia, również ta nasza łomżyńska: robotnicza i chłopska przeważnie miejscami inteligentna.

JERZY KUBRAK, prokurator wojewódzki: — Swoją tygodnik partyjny wyobrażam sobie jako: ♦ organ pryncypialnie stojący na gruncie realizacji zadań Partii we wszystkich dziedzinach naszego życia społecznego, politycznego i gospodarczego; ♦ trybunę członków i sympatyków naszej Partii, wypowiadających się w węzłowych sprawach; ♦ krytycznie oceniający, gdy zaistnieje potrzeba, przebieg realizacji linii Partii w zasadniczych i codziennych sprawach jej członków oraz dotyczących szerokiego rzesz społeczeństwa; ♦ stosujący zasadę prezentowania materiałów przede wszystkim sprawdzonych, ale także dyskusyjnych, z możliwością kształtowania rzetelnej wymiany zdań: pryncypialnej, pobawionej emocji i sensacji; ♦ trybunę przede wszystkim dla ludzi mających szczerze zamiary i chęci prezentowania wniosków zmierzających do poprawy życia partyjnego, poli-



tycznego i społeczno-ekonomicznego, ♦ przestrzegający zasady gradacji tematyki i informacji, interesujących członków Partii i sympatyków, oraz rzesz bezpartyjnych, oczywiście nie wykluczając tematyki drażliwej, kłopotliwej, ale penetrowanej tak, by dążeniem prezenterów było takie ich wykorzystanie, które służy dobru Partii i społeczeństwa naszego województwa; ♦ zdecydowane ograniczenie łamów ludziom żadnym sensacji, intrygi i nie mającym nic wspólnego z dążeniem do poprawy naszej rzeczywistości; ♦ otaczający się szeroką grupą terenowych korespondentów robotniczych, chłopskich i inteligentnych, korzystających z ich wiedzy i doświadczenia; ♦ kształtujący wśród czytelników kulturę polityczną i prawną; ♦ podejmujący, zwłaszcza teraz, szeroką dyskusję ról, zadań i kształtów przyszłych organizacji zawodowych; ♦ podejmujący trudne, ale żywotne sprawy dotyczące kształtowania prawa, strzeżenia praworządności socjalistycznej, roli i zadań organów stojących na straży prawa; ♦ prezentujący nadto te formy i tematy społeczno-kulturalne, na które jest największe zapotrzebowanie czytelników (myślę, że tematykę „tragedii pozaziemskich” i egzorcyzmów należy zostawić pismom innych profesji — szkoda papieru).

Jestem przekonany, że obecne zamiary są dobre (artykuł wstępny Redaktora Naczelnego), a stawiane warunki temu organowi przez władze województwa pozwalają na takie ukształtowanie pisma.

MARIAN GEMBARSKI, I sekretarz KM-G PZPR w Stawiskach: — Z gazety partyjnej nie można robić instrukcji dla sekretarzy. Musi być ona otwarta na krytykę — słuszną i uzasadnioną; krytykę bardzo surową i bez pomijania kogokolwiek, kto na nią zasłużył — od najniższego szczebla po najwyższy. Nie powinno być ulgi dla tego, kto odważył się złamać Statut PZPR i leninowskie normy życia wewnątrzpartyjnego.

Gazeta partyjna — obok negatywnych przykładów — powinna prezentować pozytywne wzorce działalności POP. Bo prawda jest taka: na górze podejmuje się bardzo piękne decyzje, tylko nie zawsze jest komu realizować je na dole. W o-

kresach błędów i wypaczeń góra się wymienia lub zamyka w gabinetach, a my zostajemy i świecimy oczami przed ludźmi — naszymi współtowarzyszami pracy.

Gazeta partyjna musi być wiarygodna i szczerą. Jeśli biorę ją do ręki i czytam jakiś artykuł, to wiem, że zawarty w nim problem przedstawiony jest rzetelnie. Bardzo ważną sprawą staje się pytanie: kto tę gazetę redaguje i jakim intencjom ma ona służyć?

Jest to bardzo luźna i przypadkowo uchwycona garść moich refleksji, jednakże bardzo proszę jedną z nich podkreślić szczególnie: miałbym i prośbę, i życzenie, aby nasze „Kontakty” zawsze były świeże, łomżyńskie i nigdy nie zabrakło im czasu na kontakty ze wszystkimi łomżyńskimi POP — także na terenie gminy Stawiski.

WITOLD MALINOWSKI, członek KC PZPR, rolnik we wsi Łubiane w gm. Grabowo: — Moja gazeta partyjna? Przede wszystkim, żeby owa partyjność nie odnosiła się tylko do formułek „Pismo PZPR”. Musi odzwierciedlać to wszystko, co dzieje się w partii, a — choćby ostatecznie — dzieje się w niej bardzo dużo. Uchwały IX Zjazdu, który przecież przeszedł do historii jako nadzwyczajny; VII Plenum; wiele by można pisać o idei odrodzenia partii. Przecież takiej młocki nie było w żadnej organizacji politycznej.

Gazeta partyjna musi nieść takie treści, aby była zwiastunem tego, co dobre i nowe, a jednocześnie — dla partii pożyteczne, odbudowujące jej autorytet. Weźmy choćby ostateczny kryzys. Zaczęliśmy wszyscy krzyczeć, że to partia jest temu winna. To partia doprowadziła do krachu ekonomicznego gospodarke narodową. Również dziennikarze nie stronili od takich hasel. A ja powiadam, że przed Sierpnieniem partia w założeniach była dobra. Weźmy uchwały VIII Zjazdu i późniejszych plenarnych posiedzeń. Ileż zawierzały w siebie bardzo pożytecznych treści. Stało się inaczej, bo ludzie piastujący poszczególne funkcje w partii — i to od góry do dołu — nie potrafili tych ważnych dokumentów wcielić w życie. Za-

tem krytykujemy tych nieudolnych, a nie osłabiamy autorytetu partii. Jest w tym założeniu ogromne zadanie dla takiej gazety partyjnej, jaką są „Kontakty”.

ZDZISŁAW SĘDZIAK, sekretarz Zarządu Wojewódzkiego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Łomży: — [...] „Kontakty” powinny być przede wszystkim tygodnikiem społecznego frontu porozumienia narodowego. Należy bowiem pamiętać, że znajdujemy się w nowej sytuacji społeczno-politycznej. Charakteryzuje się ona tym, że społeczeństwo musi mieć prawo wypowiedzi, czyli głoszenia własnych poglądów. Nie wolno ludziom zamykać ust; inaczej wszelkie dyskusje, bez względu na ich zasięg społeczny, przestaną być autentyczne. Jak zresztą można wyrobić sobie zdanie w jakiejś sprawie bez prezentacji różnych poglądów? To prawo wypowiedzi umożliwi prawdziwą walkę polityczną, co przecież nie wiąże się wcale z obalaniem form ustrojowych. W walce tej powinna zwyciężyć siła argumentacji. [...] Partia musi podjąć tę dysputę, jeżeli ma zachować funkcję przewodnią; musi dać przykład, że nie boi się takich dyskusji. Jeżeli będzie mądrze argumentować, przeciwnik sam się ośmieszy, nie trzeba tego specjalnie robić.

Przed II wojną światową taka prawdziwa platforma walki politycznej w kraju istniała. Jeżeli obecnie nie będzie do niej warunków, to o czym pisać? A jeżeli pisać, to jak stworzyć front porozumienia narodowego, tak teraz ważnego. Trzeba więc zaufać społeczeństwu, które przecież samo potrafi oceniać. Poza tym trzeba pamiętać, że każdy kierownik jest mądrym mądrością swoich pracowników. Ponieważ o tym nie pamiętano — mamy dziś kryzys, załamania.

Dotychczasowe „Kontakty” w opinii partyjnych były za mało partyjne, w opinii bezpartyjnych — za bardzo. Nie cieszyły się zatem pełną aprobatą ani jednych, ani drugich. Gdyby teraz stały się pismem pojednania społecznego, zyskałyby sobie obie strony [...]. Przed ukazaniem się pierwszego numeru „Kontaktów” w stanie wojennym powinna być rozpisana ankieta na temat modelu pisma, tak by czytelnicy poczuli, że jest ono faktycznie tworem społecznym, że jego charakter nie jest narzucony.

JAN GAWRYCH, I sekretarz KM-G PZPR w Kolnie: — Musi być gazeta prawdziwa, co dotychczas „Kontaktom” udawało się w zupełności. Nie wolno domagać się zawężania problematyki pisma tylko do kręgu spraw partyjnych, bo czyż można oddzielić sprawy partyjne od życia, od społeczeństwa? Każdy członek partii żyje przecież w określonym środowisku i nie może z niego się wyeliminowywać, ani patrzeć na nie z góry — musi być jednym z tych najaktywniej tworzących jego specyfikę. Oczywiście, pismo partyjne, obok swojej pełnej otwartości, powinno również prezentować to wszystko, co dzieje się w partii. Mieści się to w ramach pracy każdej gazety, a partyjnej — tym bardziej.

KRYSTYNA MODZELEWSKA, sprzedawczyni w kiosku „Ruchu”: — Cieszę się, że „Kontakty” znów pojawiły się w kioskach. Podoba mi się, bo dużo piszą o ludziach i sprawach, chociaż to partyjna gazeta. Ja wolę więcej krótkich artykułów, a tu czasem zdarzają się same bardzo długie. Osobiście nie lubię tematów rolniczych i nigdy tego nie czytam. Wydaje mi się, że w „Kontaktach” jest za dużo o wsi. „Piekielko” czasem czytam, czasem nie, średnio mi się podoba. Najlepiej lubię „Śpiecia”: są takie trochę plotkarskie, ale bardzo dowcipne i krytyczne. Myślę, że uczą rozumu nie tylko tych, którym się akurat „dostaje”, ale trochę przestrzegają i pouczają innych. Ogromnie się ucieszyłam, że pojawiła się krzyżówka. Gdyby jeszcze były horoskopy...



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

szczególnie odpowiednich dla takiego paćana w połowie podstawówki. Po ojcu pozostały szczątki biblioteki — to, co ukryte w drewnie, nie zbutwiało przez lata wojny. Były to głównie książki historyczne — kilka z nich mam do dzisiaj.

Miałem chyba 11, kiedy zapisałem się do biblioteki OMTUR. Prowadzący ją tłumaczyli, że jestem za smarkaty, aby z niej korzystać, ale okazało się, że kierownik biblioteki znał mojego ojca. Jako szczeniak, w trzydziestym szóstym, przynosił ojcu „Robotnika” — zarabiał w ten sposób na kieszonkowe. Syn towarzysza (myślę, że on i jego koledzy tak właśnie wówczas rozmawiali) może korzystać z biblioteki: wybierali jednak dla mnie książki „neutralne”, nie szkodzące wyobraźni, czyli — historyczne.

— A ojciec?

— Zginął w 39, jako ochotnik w PPS-owskich Robotniczych Batalionach Obrony Warszawy... Łatwo możesz obliczyć, że go nie znałem, nie mogłem pamiętać jak wyglądał, jaki był dla mnie. A tego przecież potrzeba, szczególnie chłopakowi. To jest wzór, najbliższy, do naśladowania, a w późniejszych latach człowiek, od którego chce się różnić, któremu nawet pragnie się przeciwstawić. Nie miałem takiego człowieka, żywego. Musiałem zbudować sobie jego mity.

— Ojciec mityczny, taki jak u Bruno Szulca? Czy po prostu musiałeś odtworzyć, wybaczyć to niezbyt odpowiednie słowo, z niego to, czego ci najbardziej brakowało. Zmierzam nie do okliwej wizji życia w cieniu ojca-bohatera, ale do tego, aby znaleźć przyczynę Twojego wariactwa z wojakami.

— A pisanie wierszy nie jest wariactwem?

— Tak, ale mówimy o Twojej „słabości”. Idzie mi o to, że odtwarzanie, o którym mówię, nie mogło pozostać bez wpływu na Twoją wyobraźnię.

— Masz rację. Mnie na przykład nie bardzo poruszały opowiadania Amicisa, a przecież na jego „Sercu” edukowały się uczuciowo i moralnie całe pokolenia. Bardziej przeżywałem film „Aleksander Newski”, powieści Waltera Scotta i Sienkiewicza. Nie, nie miałem zbyt sentymentalnej wyobraźni — zawsze obok fabuły „widziałem” szczegóły. Jest tylko jedna możliwość utrwalenia i sprawienia rzeczy wyobrażonych — zobaczyć je w rzeczywistości. Żołnierzyków, nie można było kupić w sklepie, więc zacząłem je robić sam. Nie z cyny, tylko z kartonu, tak jak wycinanki z arkuszy kupowanych w papierniach. Gdy narysowałem takiego, na przykład, piechura z okresu Księstwa Warszawskiego, zrobiłem to tuszem, farbami, wyciąłem z kartonu i ustawiłem na podstawie — wtedy widziałem, że nie wiadomo z którego on pułku, bo brak tego lub tamtego, że uzbroiłem go niewłaściwie. Rozumiesz? Jak ktoś chce mieć oddział wojska, musi mieć najpierw jednego żołnierza. A ja chciałem mieć całą armię. I Księstwa, i Napoleona, i Bluchera. To oczywiście musiało być prymitywnie wykonane wojsko, ale tak, aby już na pierwszy rzut oka wiadomo było, czy jacyś dwaj żołnierze to wrogowie czy towarzysze broni.

— W szkole pewnie nauczyciele historii mieli z tobą kłopoty. Ojciec nie był przecież historykiem. Mama, jak wiem, też nie.

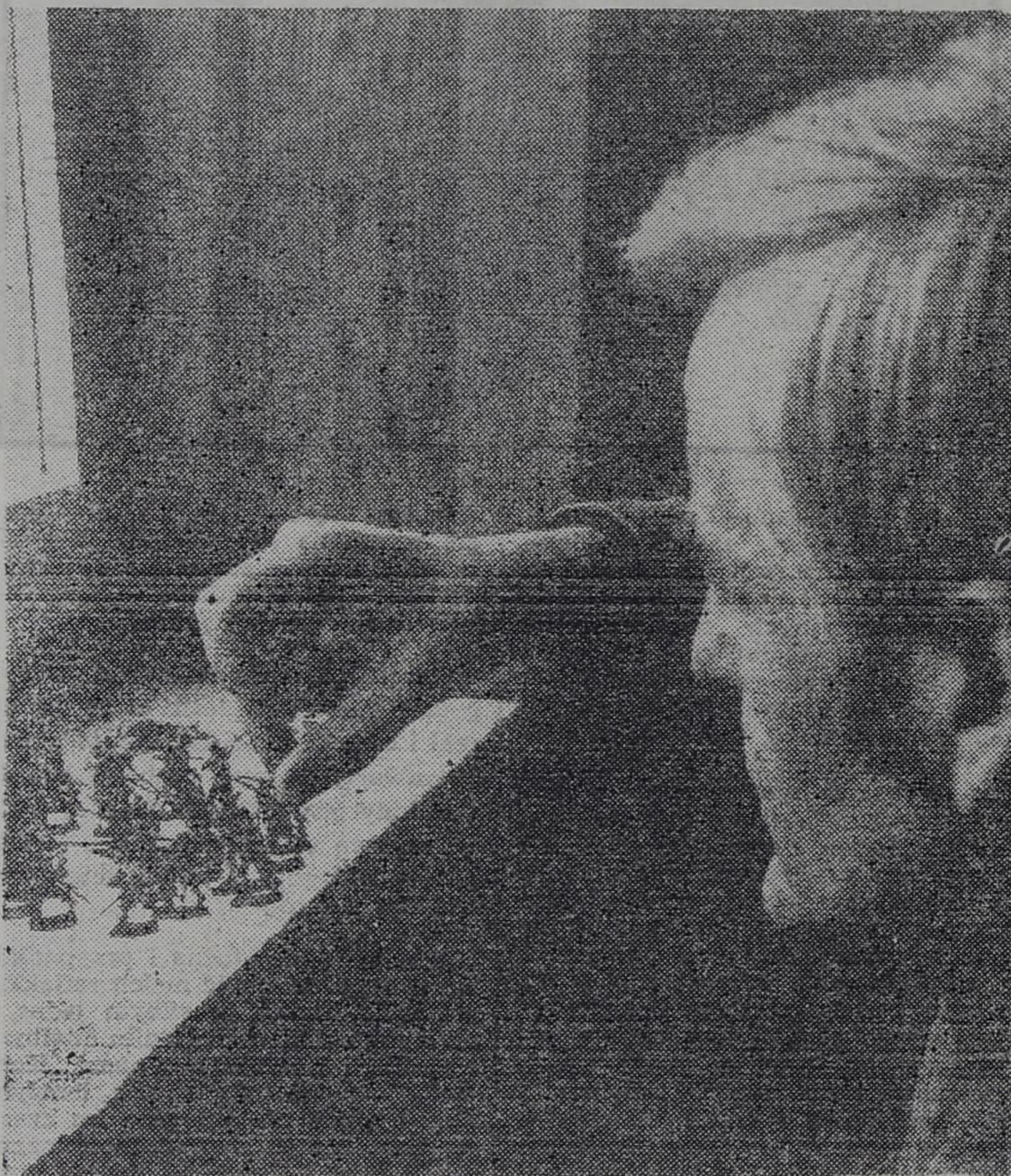
— Nie. Ojciec pracował jako urzędnik w Kasie Chorych, a mama, przed wojną, jako nieopłacany (nadetatowy) praktykant sądowy w biurze sądu, gdzie już po roku nienagannej pracy miała prawo do służbowej, darmowej... herbaty. Po wojnie, do ubiegłego roku, pracowała w administracji. I ani rodzice, ani nikt z ich rodzin nie interesował się historią. To raczej ona interesowała się nimi. I nami. Co do nauczycieli, to kłopoty mieli raczej nauczający matematyki, fizyki i co tam jeszcze jest z tak zwanych przyrodniczych przedmiotów.

— Ale pyskować, to rzeczywiście zawsze pyskowałem, od kiedy siebie pamiętam, tylko że wtedy było to normalne. Nienormalne było, gdy ktoś nie miał nic do powiedzenia w jakiejś sprawie, gdy nie miał jakiegoś swojego wariactwa. Były sprawy ogólne, w których trzeba było mieć własne zdanie, spierać się o nie. Pamiętam z nich co najmniej trzy (chodząc już do gimnazjum im. T. Kościuszki): sprawy niedawnej wojny; dylemat — czy do kościoła powinno się chodzić całą szko-

łą, czy jest to sprawa osobista każdego ucznia oraz sprawy, które można w największym skrócie nazwać polityką, ale był to w gruncie rzeczy spór tych, którzy już uwierzyli w socjalizm lub chcą weń uwierzyć i stanie się to lada chwila, z tymi, którzy wiary tej nie podzielali.

To zawsze była niepokorna szkoła. Założyli ją kalisy kupcy i rzemieślnicy w 1907 roku, jako prywatną szkołę handlową z wykładowym językiem polskim. Przed wojną było tam męskie gimnazjum. Miało opinię trochę lewicującego, m.in.

chciałem mieć własną armię



dlatego, że zawiązała się tam drużyna harcerska skupiająca także młodzież spoza szkoły, uczniów rzemieślniczych i kupieckich, dzieci robotników. Po wojnie niewiele się zmieniło. Nawet znaczna część nauczycieli pozostała. No i oczywiście było to nadal gimnazjum męskie; „Asnyk” był koedukacyjnym. Były to raptem cztery lata po wojnie, więc chodzili z nami do jednej klasy żonaci, dzieciaci oraz tzw. wyrostki. Posiadanie broni czy amunicji nie było czymś nadzwyczajnym, szczególnie u uczniów starszych klas. Konspiracyjność była jeszcze prawie odruchem. No i wykryto u nas organizację podziemną, wciągającą młodzież szkolną do działalności antypaństwowej, antysocjalistycznej i antyludowej. Władze, ku zdumieniu wszystkich, potraktowały sprawę bardzo serio; odbył się proces, były wyroki, a gimnazjum rozwiązano. Od nowego roku szkolnego poszliśmy już do, wchodzącej wtedy w modę, jedenastolatki, istniejącej pod auspicjami Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

— A „konspiratorzy”?

— Przywódcy dostali po roku paki, jeśli dobrze pamiętam, i oczywiście „wilczy bilet” do szkół, ale oni naprawdę nie potrafili powiedzieć co chcieli osiągnąć. Rozmawiałem z jednym z nich, już po kilku latach.

— Władze nie wiedziały widać, jakiej rady udzielił pewien rosyjski

generał dowódcy artyleriijskiej baterii, która w żaden sposób nie mogła wykonać strzelania: — Nada nalać mordu trzeciemu nawodczikowi (trzeba obić pysk trzeciemu celownicemu).

— Myślę, że i wtedy byłby to najlepszy sposób.

— A jak przyjęliście 11-latkę.

— Fatalnie. Przede wszystkim parter i piętro zanego gimnazjalnego budynku, którego nie zmogła zadna z wojen, zapelnily sie maluchami. Po drugie — sprowadzono dziewczyny. To była klęska w męskim gimnazjum! I na koniec, straciliśmy część naszych kolegów i profesorów, których przeniesiono do gimnazjum im. Adama Asnyka. W ten sposób trafił tam mój kolega z ławki, Jan Wróblewski, który później stał się Janem Ptaszynem Wróblewskim.

Od tej pory szkoła zabierała nam tylko tyle czasu, ile trwały lekcje. Przecież to, co mieliśmy do zrobienia poza nią było bardziej fascynujące. Miałem, i mam do dzisiaj, znajomości (dawniej nawet przyjaźnie) w różnych środowiskach. Ten rodzaj społecznej otwartości to nie tylko sprawa rodzinnego wychowania, ale także, a może przede wszystkim, sprawa tej właśnie szkoły, gimnazjum im. Kościuszki. Bo potem TPD-owska 11-latką, to było coś innego. Już choćby przez programową świeckość musiała ograniczyć krąg socjalny rodziców swoich uczniów. Ja zostałem w niej, jak myślę, głównie

nał się od pozytywizmu, a historia powszechna, łącznie z historią polską, od Wiosny Ludów. Za to zawałano nas wykładami i zajęciami technicznymi. Poza tym ton nadewała grupa po tzw. studiach przygotowawczych: maturę robili w ciągu dwóch lat a potem, bez ograniczeń i bez egzaminów wstępnych, wybierali sobie kierunek studiów i uczelnie. Ci nie mogli mieć żadnych wątpliwości, czy przed 1948 rokiem było w historii cokolwiek wartego uwagi, czy nie. Podobnie z literaturą, nie mówiąc o filozofii. No więc zaliczyłem ten pierwszy semestr i... wróciłem do mamy. Oczekałem i zdałem do Poznania na historię. Dostałem stypendium, ale nie przyznano mi miejsca w dom akademickim. Przez pół roku tułałem się po kolegach, po akademikach, sypiałem nawet w wagonach kolejowych na bocznicach i, dziwnie, ale właśnie wtedy miałem najlepsze wyniki. Dostałem nawet stypendium, zwane wtedy naukowym i przydzielone do domu studenckiego. Nigdy potem nie byłem takim asem, z czego nie należy wyciągać zbyt prostych wniosków.

— Nie mam zamiaru. A co z żołnierzami?

— Byli obecni w moich studiach, skoro pracę magisterską u prof. J. Pajewskiego zatytułowałem: „Poglądy Fr. Engelsa na tematy wojskowe”.

— Może ciebie zwyczajnie ciągnęło do wojska i należało pójść do szkoły oficerskiej, a nie na jakąś tam historię.

— Chcesz koniecznie, abym teraz, kiedy zbliżam się do pięćdziesiątki, odkrył w sobie zmarnowanego żołnierza? Nie. Pochodzę z bardzo cywilnej rodziny. Tak po jednej, jak i po drugiej stronie.

— A ojciec?

— Ochotnik w chwili ostatecznego zagrożenia. Miałem jednak dziadka, ojca mamy, który walczył na dwóch wojnach — japońskiej 1904/5 roku i Pierwszej Światowej. Tylko że będąc poddanym cara, najpierw został wzięty z poboru, a w drugim przypadku najzwyczajniej zmobilizowany. Zresztą, dzięki japońskiej wojnie, ja podobno mam coś z niego, bo ranny pod Mukdenem przyjechał na urlop rekonwalescencyjny w rodzinne strony, na Kujawy i wtedy zobaczyła go babcia. Miała siedemnaście lat i narzeczonego organistę, ale dziadek w długim szynelu, z głową szronkową, wąsem czarnym i ręką na temblaku wydał jej się taki, że rzuciła spokojną i dostatnią przyszłość organisty i — raz-dwa wyszła za biednego, rannego Stasia. Carska Rosja dbała o swoich żołnierzy, więc nie była ta przyszłość taka biedna bo dziadek miał zapewnioną posadę państwową do końca życia. Wyszło, co prawda, że tylko do końca... caratu, ale to dopiero po piętnastu latach. Jako kawalerzysta otrzymał najpierw funkcję dosmotrzczyka na granicy z Prusami.

— Dosmotrzczyka? Jak to będzie po polsku?

— Nie wiem. Potem dostał jeszcze bardziej egzotyczną posadę — dowódcę konwoju kurierów. Całkiem jak w kowbojskim filmie. W 1914 roku powędrował do wojska do Rosji. Wrócił po sześciu latach, w 1920 roku. Przywiózł kuferek łupów wojennych: zmianę białej pościeli, zegar z kurentem wygrywającym „Pożegnanie Ojczyzny” Ogńskiego i parę brezentowych, kawalerskich butów. Aha, i wspaniały, bolszewicki szynel. Nie wiem, czemu tak przedłużyła mu się wojna, ale pamiętam, że babcia, tym razem nie chciała ulec urokowi wojskowego stroju i w chwilach zdenerwowania wypominała mu to długie wojowanie.

Dziadek wrócił do służby państwowej, z tym że już jako spieszony funkcjonariusz pocztowy. I to są wszystkie wojskowe i mundurowe tradycje, jakimi mogę się pochwalić, bo ze strony ojca — sami patentowani cywile. Dziadek dzierżył młyn. Stąd ciągle wędrowki rodziny. Mój ojciec świadectwo chrztu miał z Petersburga, a szkoły podstawowej — z Berlina, i dopiero Kalisz i jego okolice stały się miejscem osiedlenia. Dziadek zmarł wcześniej, na pylicę, chorobę młynarszą, a z pięciorga rodzeństwa tylko mój ojciec otrzymał średnie wykształcenie. Jego bracia byli rzemieślnikami, wykwalifikowanymi robotnikami, siostra wyszła nawet za majstra w fabryce fortepianów Fibigera. I wszystko byłoby świetnie, gdyby nie kłopoty z jednym z braci, który zamiast należeć do PPS,

jak trzech pozostałych, zapisał się do KPP, co szybko wyszło na jaw i od tej pory wujek Kazio ciągle szukał pracy. No bo przed wojną kto by trzymał u siebie komunistę, i jeszcze dawał mu chleb? A że Kazio miał żonę i dwie córki, więc samopomoc rodzinna była w ciągłym użyciu. I nie tylko rodzinna, bo — wyobraź sobie — nawet po wybuchu wojny, nikt naszej rodziny nie zdradził, nie zadenuncjował ani matki — wdowy po obrońcy Warszawy, ani jego braci socjalistów; nawet komunisty — wujka Kazia. Myślę, że u podłoża takiej postawy musi być tolerancja. Kalisz był miastem przygranicznym. Przez ponad sto lat zaboru rosyjskiego i Księstwa Warszawskiego wchłaniał w siebie różnych ludzi i ich obyczajowość; niektórych zatrzymywał, innych odsiewał.

— To były kresy, zachodnie kresy Polski XIX wieku.

— Mówiąc kresy mamy na myśli wschód. Dlaczego? Przecież były i zachodnie. I wiem, że coś z tej tolerancyjności odczułem w swoich latach licealnych, kiedy działając w ZMP, a na początku nie była to organizacja masowa, przyjaźniłem się z byłym „Wiciowcem”, który do ZMP nie wstąpił; czy z synami przedwojennego endeka, który wiadomo co mógł myśleć o otaczającej rzeczywistości, ale mnie traktował bez uprzedzeń.

— Idealizujesz.

— Na pewno, ale po odjęciu tej „tary” i tak pozostanie niemało.

— Po studiach wróciłeś do mamy.

— Do Kalisza, do pracy w szkole, ale czekał na mnie także pan Wacek Klepandzki z propozycją przejęcia muzeum kaliskiego. Odchodził na emeryturę, i — jak przyznał się później — przymierzał mnie do tej pracy już wtedy, gdy byłem w gimnazjum.

— To był sukces.

— Tak samo ja to odebrałem, ale dzisiaj nigdy bym się na to nie zgodził. Rzecz nie w braku wiedzy u świeżo upieczonych historyka, o muzealnictwie, ale w braku wyobraźni o tym, co mnie czekało. Obejmowałem budynek wielkości łomżyńskiego WDK, który należało wyremontować, przystosować do potrzeb, wyposażać i urządzić. Najmniej kłopotów było z tą ostatnią sprawą, zbiorów nie brakowało.

— Zrobiłeś?

— Pewnie, że zrobiłem, ale...

— Żołnierzyki poszły do kata?

— O nie. Wtedy dopiero zaczęły się na dobre! Któregoś lata, na początku lat sześćdziesiątych, odwiedził mnie w muzeum prof. Mariusz Karpowicz, historyk sztuki z Warszawy. Prowadził w pobliżu Kalisza obóz studentów historii sztuki. Kiedy wychodził ode mnie byłem już klasycznym kolekcjonerem, gotowym oddać wiele za nieefektywne, cynowe figurki żołnierzy: dwustronne (nie trójwymiarowe), o ustalonej, jednakowej wielkości 33 mm do linii oka piechura. Kilka takich zostawił mi w prezencie. Malowałem je sam. Brzmi to bardzo prosto, ale wymaga i szczegółowej dokumentacji, i pewnej biegłości technicznej w malowaniu. Wkrótce zostałem przyjęty do Sekcji Miniatur przy Stowarzyszeniu Miłośników Starej Broni i Barwy w Krakowie.

— Bliżej nie było?

— Wtedy zarząd główny takiego stowarzyszenia mógł mieścić się tylko w Krakowie.

— Rarytna sprawa.

— O tak. Kilkakrotnie byłem nawet na posiedzeniach Sekcji, brałem udział w wystawach, ale na dłuższą metę było to trudne do zniesienia. Za to dzięki różnym kaliszczanom i byłym kaliszczanom, lub znajomym, lub znajomym takichże, do stałem zagraniczne kontakty ze zbieraczami miniatur. Po audycji radiowej, a szczególnie po programie telewizyjnym, przedstawiającym mnie jako kolekcjonera, otrzymałem około tysiąca listów od dzieci. Byłoby to miłe, ale, niestety, większość z nich zawierała jedno pytanie: gdzie moż na kupić takie miniatury. Otrzymałem też od kogoś niemiecki album z reprodukcjami strojów z okresu Napoleona, a pewien wykładowca z technikum odlewniczego podał mi znakomite receptury na sporządzanie form odlewniczych i samych odlewów z cyny. Większość moich zbiorów sprowadziłem z zagranicy.

— Skąd dewizy?

— Wymiana, tylko wymiana: książki, albumy, wódka, a nawet sucha kielbasa i grzyby.

— Klasyczna polska waluta zagraniczna. Do niedawna.

— W większości były to jednak

Kaliszka” była już miesięcznikiem książki, u nas w latach sześćdziesiątych nieprzychylnie. Jeden z kontaktów zagranicznych okazał się bardzo trwały i owocny: z Władymirem Mikołajewiczem Duszkim, kolekcjonerem i malarzem miniatur z Paryża. Korespondencyjnie zapisał mnie do Towarzystwa Kolekcjonerów Miniatur Historycznych we Francji, opłacając za mnie 25 franków rocznej składki. Wtedy runęła na mnie lawina ofert firm handlujących wszelkimi miniaturami i malarzy miniatur militarnych. W 1965 roku dostałem od Duszkina list z oficjalnym zaproszeniem Towarzystwa na ich kolejną wystawę. Na wyjazd mogłem liczyć jedynie pod warunkiem, że zostanę zaproszony prywatnie, na jego wikt i mieszkanie, a moje władze muzealne pomogą mi zdobyć paszport. Pojechałem. Władimir okazał się wspólnym Słowianinem na nie wrogię przeciwnym, romańskiej ziemi. Tadeusz Breza, pracujący wówczas w ambasadzie polskiej, załatwił mi z dyrekcją Louvru różne ułatwienia, głównie natury finansowej. Poza tym miałem w Paryżu trochę franków. Za książki. Nie odebrałem tego w żołnierzykach tylko w gotówce i żyłem tam całkiem nieźle. Gorzej było po powrocie do kraju. Może to przypadek, ale myślę, że nie tylko. W Kaliszu, w resorcie kultury zaszyły, powiedziałbym: niedobre przetasowania, na których skutki, mówiąc krótko, nie mogłem się zgodzić. Musiałem przejść do innej pracy. Wybrałem dziennikarstwo. Od 1957 roku wychodził w Kaliszu dwutygodnik „Ziemia Kaliska” — pismo towarzystw społecznych i kulturalnych, dotowane z kasy miejskiej. Potem i na tę kasę przyszły chude lata i gdyby nie RSW pismo musiałoby paść. W 1967 roku „Ziemia

— Tak, ale to północno-wschodnie kresy Kongresówki. Łomży, przy wszystkich podobieństwach do Kalisza, nawet dając wiarę pogłoskom o starożytności łomżyńskiego grodu zawsze brakowało jednego — nie miała swojego Poznania, na którym mogłaby się oprzeć, ku któremu mogłaby „spoglądać” ponad granicą zaboru, a potem we wspólnej Polsce.

— Tak, tu się kończyła ciągłość, dalej były już tylko pojedyncze wyspy.

— A potem w Niepodległej, i za naszego już czasu, ziemia ta została po prostu wchłonięta i ominięta różne rzeczy, w tym i dobrodziejstwa. Zauważ, że kiedy wyjeżdża się z Warszawy, już dworzec Stadion jest jakiś — niewydarzony i im dalej, coraz brzydsza zabudowa. W Łomży zadziwiający kontrasty: świetny hotel, a naprzeciwko zarośla, śmierzdzące podwórko. I tak jest latami. Przed ratuszem fontanna, obok której wiecznie zaśmiecona budka telefoniczna. Odkąd tu jestem nie miała kompletu szyb. W tym mieście nie ma nawet dwustu metrów równo ułożonego chodnika. Wiem, bo przegrałem o to zakład. A jednocześnie w budowanych blokach powierzchnia mieszkań jest większa niż gdzie indziej.

— Specyfika?

— Żebyś wiedział. Jakby ludziom brakowało sił na dokończenie pracy, na jeszcze jeden zryw, żeby uprzątnąć bałagan po robocie. Z tego bierze się zadowolenie byle czym, poprzestawanie na „dobrze”, a zapominanie, że jest „lepiej” i ono powinno być zasadą. Pomyśl tylko — tak polskiego kawałka krajobrazu, jaki jest w Nowogrodzie, daleko by szukać. Przecież w tej chwili ma on walory wyższe niż Kazimierz nad Wisłą. Tu jest średniobrudna Narew i czysta Pisa. Bliżej Warszawy! —



RSW, ustabilizowanym finansowo i kadrowo, o stałym gronie wiernych czytelników. Dostałem w przydzielone sprawy historyczne, kaliskie oraz rolnictwo. Największą satysfakcję dało mi napisanie w ciągu kilku lat około 300 artykułów pod wspólnym tytułem „Ballady kaliskie”. Traktowały o ludziach, ulicach, budowlach, niekiedy zwyczajnych domach, zdarzeniach, klęskach i sukcesach Kalisza. Od pewnego czasu toczą się rozmowy w sprawie książkowego wydania „Ballad”.

— Ziścił się Twój sen o dziennikarskiej szpadzie.

— Okazuje się jednak, że moje miłości zmieniły kolejność: kiedy podczas wakacji w 1972 roku dogonił mnie gdzieś w Polsce telegram od prezydenta Kalisza, w którym proponował objęcie dyrekcji muzeum — przerwałem wakacje. Na balu sylwestrowym 72/73 przejmowałem ponownie „moje” (uwaga dla czytelnika: nie wiem czy ten cudzysłów jest tu na miejscu, bo go nie słyshałem — H.G.) ukożane muzeum.

— Zaś w lipcu 1977 roku obejmowałeś Muzeum Okręgowego w Łomży.

— Tak, właśnie dlatego, że było to muzeum. W Kaliszu, z chwilą powołania nowych województw, zaczęły się rzeczy niesamowite. Robili kariery ludzie dziwnej konduity i wiadomego braku kompetencji. Jeśli np. wysokie, w skali miasta wojewódzkiego, stanowisko powierzane jest wieloletniemu bebniszcze z knajpy... Chciałem i musiałem wyjechać.

— Znałeś Łomżę wcześniej?

— Nie. Na wschód od Wisły byłem tylko w Kazimierzu.

— Ale trafiłeś znów na kresy, byłe kresy. I także do byłego gubernialnego miasta.

Nikt nie ma odwagi pomyśleć o tym w ten sposób. Obok samozadowolenia i niemożności, trzecim składnikiem specyfiki jest poczucie odepchnięcia, kompleks prowincji.

— To cecha nie tylko łomżyńska. Prowincja jest wszędzie, gdzie ludzie są zmuszeni lub chcą patrzeć w dal, zamiast przede wszystkim pod nogi i wokół siebie. A żołnierzyki?

— Pokazywałem na wystawie trochę uzbrojenia, miałem prelekcję i pokazy dla harcerzy w szkole numer 7. Ostatnio otrzymałem kilka figurki i katalogi od kolekcjonera z Madrytu, z zawodu lekarza, z zamiłowania malarza batalisty, Mirosława Sokołowskiego.

Cynowe żołnierzyki to bardzo kameralna pasja. Gdzie im do widowiskowości zbiorów kolejek albo samochodów. Nawet kolekcje miniatur-ludzi z różnych epok są bardziej efektowne. Przypomina modelarstwo, gdzie cała sztuka polega na wierności oryginałowi. A propos — szkoda, że tak okrojone będzie tegoroczne Święto Kultury Staropolskiej, bo bardzo chciałbym porównać wierność tego, co i jak śpiewają dzisiaj zespoły ludowe na Kurpiach z „Pieśniami Kurpiowskimi” Szymanowskiego. Można je chyba traktować jak oryginał?

— Możesz to zrobić nie czekając na Święto.

— Chyba tak zrobię.

— A potem?

— Co potem?

— Dokąd? Stąd, z Łomży?

— Nie wiem.

— A chcesz?

— Jak „nadoje” mi specyfika, to tak. Ze strachu przed nią.

Fot. GABOR LÖRINCZY

Z ciekawością zacząłem wertować pierwszy numer „Kontaktów” i przy trzeciej stronie od razu się zdenerwowałem. Jestem szeregowym członkiem partii, ale naprawdę trudno mi zrozumieć, dlaczego na temat pisma, jedyne zresztą w naszym województwie, nie może wypowiadać się moja bezpartyjna żona, czy siostra z ZSL-u. Przeczytałem też „rozpoczynamy szeroką dyskusję na temat »Kontaktów«”, a potem — jednobrzmiące, niemal jednomyślne wypowiedzi.

Panowie Redaktorzy, takich dyskusji to ja przeżyłem sporo, do niedawna sami pewnie robiliście sobie z nich żarty, a teraz znowu sami zaczynacie „dyskusję” w starym stylu. Może część uwag jest do przyjęcia, ale chyba „Kontakty” nie powinny być, jak wynika z wypowiedzi, większym „Serwisem informacyjnym”, jaki od czasu do czasu otrzymujemy.

Nie znam się pewnie tak na propagandzie, jak prezes Stefan Sokołowski, a może źle rozumiem rolę pisma partyjnego, ale jego wypowiedź przypomina mi mowy niektórych ostrych wojowników „Solidarności”, tylko skierowane do kogo innego.

Może nie jestem tak dobrym komunistą, jak towarzysz prezes, ale wydaje mi się, że teraz potrzeba by wszyscy byli razem, bez dzielenia na partyjnych i bezpartyjnych. I nie chciałbym, by u mnie w domu każdy czytał swoją gazetę i z niej czerpał tylko swoją, najprawdziwszą mądrość. Dlatego uważam, że „Kontakty” powinny być dla wszystkich mieszkańców województwa, zamieszczać różne opinie i poglądy i być, jak napisaliście na następnej stronie — „pismem otwartym”. O tym powiedział Wam zresztą także tow. Stefan Sokołowski, ale nie wiem, jak chce to godzić z tym, co dodał potem, że w tygodniku nie powinno być miejsca dla różnych poglądów.

Przepraszam, że oceniam innych, a sam nie daję żadnej propozycji, ale przyznam, że nie myślałem o tym dotąd. Napisałem też tylko dlatego o jednej wypowiedzi, bo wydała mi się ona najbardziej jednostronna.

Czytelnik z Łomży
(nazwisko i adres do wiadomości redakcji)

Od redakcji: Zapewniamy, że ogłoszona przez nas dyskusja jest skierowana do wszystkich czytelników, a każdy list na temat pisma, który nadejdzie do redakcji będzie opublikowany. O jej otwartości świadczy chyba również powyższa wypowiedź.

☆

Przypadkowo przeczytałem w „Kontaktach” o powstaniu w Łomży Społecznego Stowarzyszenia Prasoznawczego „Stopka”. Ponieważ od dłuższego czasu interesuję się dawną prasą, wydawcami, a także sam posiadam dość bogate zbiory starej prasy regionalnej, chciałbym coś więcej dowiedzieć się na temat samego Stowarzyszenia, jego założeń i bieżącej pracy. Jednakże nie dysponuję adresem „Stopki” i dlatego uprzejmie proszę redakcję o pomoc w nawiązaniu kontaktu.

ZBIGNIEW KOWALIK
Katowice, ul. Senatorska 15/3

Od redakcji: Panu Kowalikowi odpowiemy indywidualnie, ale ponieważ jego prośba nie jest odosobnioną niebawem opublikujemy szerszą informację na temat „Stopki”.



Zamuliło się życie w Wyszymierzu niczym otaczające tę wioskę rowy. Zarosły trawą ścieżki od sołtysa do sekretarza POP, od sekretarza i sołtysa do przewodniczącego koła ZSMP. Ludzie niegdyś energiczni, zdolni stać czoła największym rywalom w byłym powiecie zambrowskim o laur pierwszeństwa w gospodarowaniu, zaradności, trosce o ład i dyscyplinę, stali się ospali, drętwi, jakby przekroczyli ze sto lat. Okazują jeszcze jakieś zainteresowanie dostawami do miejscowego sklepu, ale i tu jest coraz więcej wątpliwości. Wpadną, chwycą jeden czy dwa chleby i nawet nie pytają o zapalki, sól, cukier, bo tego najczęściej nie ma. O czym więc myślą? Czym żyją? Lapidarnie można odpowiedzieć: to se tu, to se tam. Każdy wędruje własną ścieżką: za stodołę, do gminy, na pole.

Przykładem upadku wyszymierzowego życia jest stary, poszkolny budynek. Wieś wzniosła go własnymi siłami zaraz po odejściu frontu. Miała wtedy jasność, że nie może liczyć na gminę, bo ta jeszcze nie ukształtowała się, nie stała mocno na nogach. Mówiło się wprawdzie wówczas o boju z analfabetyzmem, ale Wydział Oświaty nie dysponował jeszcze swoimi funduszami. Musieli sami zdecydować, czy szkoła we wsi ma być, czy dzieci będą musiały chodzić do sąsiedniej wioski, która przecież też bez niczyjej pomocy z zewnątrz wzniosła szkolny budynek. Jakże to jednak: tamci postawią, potrafią się zorganizować, a oni przez całe lata będą na ich łasce?

Szybko zwołali zebranie, podzielili się robotą, jako że fachowców nie brakowało. Kto miał dwie lewe ręce, choć takich tu niewiele, dawał konia z wozem i po drzewo jechał do swego ojcowiskiego lasu; kto potrafił dobrze rznąć, stawał przy pile — nie elektrycznej, ale ręcznej. Trzeba było zdrowo namachać się, bo cały budynek wznoszono z sosnowego drzewa. Ale był entuzjazm, inne podejście do pracy. Nie to żółwie, pełne niechęci i obiektywnych barier, jakie na przykład towarzyszy ekipom budowlanym przy wznoszeniu Ośrodka Zdrowia w Kolańkach Kościelnych, w Czyżewie, ale dziarskie, chłopskie, bo chociaż obiekt miał służyć wsi, każdy przykład się do niego tak, jakby to miała być jego własność. Nie narzekali, że brakuje gwoździ, cementu — znajdowały się dzięki chęciom i głowom na karku.

Budynek służył przez kilkanaście lat. W dzień mieściła się w nim szkoła, wieczorem świetlica. Schodziła się młodzież i starsi. Było gdzie zrobić zebranie, zabawę, pożegnać stary a powitać nowy rok. Wspólnie zastanawiać się, wygrać konkurs: „Wieś białostocka gospodarna i kulturalna”. Rozbudowywali się, wznosili płoty: zamożniejsi z metalowej siatki, ubożsi — sztachetowe. Zerwali się hurmem na hasło „specjalizacja”: ukierunkowali produkcję swoich gospodarstw na hodowlę trzody, bydła mlecznego. Gmina zaliczała Wyszymierz do najlepszych wsi i nosiła się z zamiarem uczynienia jej specjalistyczną. W ciągu kilku lat wieś dorobiła się asfaltu, wodociągów, regulacji stosunków wodnych. Może właśnie w tej euforii publicznej życie kulturalne zagubiło się, zapomniano, a wznoszony niegdyś wspólnymi siłami budynek okazał się jakby zbyt tani, aby się nim dalej interesować? Teraz, gdy minął czas oklasków wyszymierzowych sukcesów i triumfu nad sąsiednimi wioskami, po upadku i dostrzeżeniu, że pomimo melioracji ziemia jest nadal błotnista, odżywa stary sentyment do tego, co kiedyś zrobiła sama wieś — solidnie i bez oglądania się na kogokolwiek.

Na zebraniu poświęconym odbudowie zdewastowanego budynku szkolnego, coraz więcej głów zwracało się w stronę naczelnika Urzędu Gminy, Komisarza, Sekretarza Komitetu Gminnego PZPR — stamtąd spodziewając się poparcia, a nawet wyręczenia.

Józef Radwański, sołtys wsi pełniący tę funkcję przez ponad dwadzieścia lat, uzasadniał: — Oczywiście, budynek trzeba remontować, bo jak postoi tak jeszcze kilka lat, to się rozsypie. Nowego nie wzniesiemy, bo materiał teraz bardzo drogi. Ważne jest jednak, kto go będzie remontował. Myśmy zostawili go w porządku: były dobre okna, drzwi, piece kafłowe. Teraz ściany poobi-

jane, kontakty powyrzynane, kafle z pieca kruszą się jeden za drugim, sufit wygina się — w każdej chwili może runąć. Wydział Oświaty odebrał nam ten obiekt, gospodarzył nim przez kilkanaście lat, to niech go nam wyremontuje i zwróci.

Pozostali jakby na to czekali. Kazimierz Wojsz począł argumenty wysypywać jak z rękawa: — Mieszkał tu Komar. Co to był za nie-dobry człowiek! Ściany siekierką rąbał, o nic nie dbał. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Stanisław Kotowski wychodził aż na środek chłupy i, gestykulując rękami, mówił podniesionym głosem: — Byliśmy u naczelnika Urzędu Gminy, sekreta-

powieszeni na słonecznym promyku

rza Komitetu, protestowaliśmy przeciwko dewastacji budynku, odpowiedzieli nam: „To jest własność oświaty i wam nic do tego”. Co mieliśmy robić?

Do rozmowy wtrącił się komisarz, mjr Wiesław Michalak: — I naprawdę nie mogliście wywrzeć na tego człowieka żadnego wpływu? Przecież chyba nadal czuliście się gospodarzami tego obiektu, bo oświata go od was tylko dzierżawiła? Jeśli dyrektor Gminnej Szkoły Zbiorczej, naczelnik i sekretarz nie reagowali, to istniał chyba sąd, milicja? Trzeba było tam się zwrócić.

— Dobrze teraz panu komisarzowi gadać — wałnął ktoś spod okna. — Wtedy prawo było nie po naszej stronie. To myśmy nocy nie dosypiali, aby tymi oto rękami wybudować we wsi szkołę, a potem jednym podpisem nam zabrano ją. To bezprawnie. A, niestety, nie potrafiliśmy dojść swojej krzywdy. Gdyby podejmowane uchwały były realizowane konsekwentnie, do końca, to ożłowiek wiedziałby, na jakim świecie żyje. Ale u nas to jest tak, że ten rzadzi, kto pierwszy wstanie. Każdy minister Oświaty miał swoją reformę, którą wlewał w życie, jakby to tylko o jego ambicję chodziło; nie o nasze dzieci. I tak jest w województwie, tak jest w naszej gminie. A sami remontujcie cholery, jeśliście tak dotychczas rzadzili!

Tadeusz Głębocki poparł poprzednika: — Na pewno taki domek przyda się nam. Ale niechaj go ten do-

ko poprzez ustalenie, jak go przywrócić do dawnej świetności.

Słowa te, choć u niektórych wyzwały aprobatę, u wielu wywołały wyraźny grymas. Dwóch, siedzących pod ścianą na starej skrzyni uzasadniało po swojemu: — Wyremontujemy, a potem znowu ktoś się do niego przyniesie, zniszczy i będziemy szukać wiatru w polu. Teraz trzeba zastanowić się, ile remont wyniesie. Wtedy, to było wszystko tanie, dziś byle jaki chojar kosztuje prawie 10 tysięcy. Kto na to będziełożył? Każdy z nas z trudem łączy koniec z końcem, więc nie wiem, czy znajdą się pieniądze na tak wysokie składki. Mieczysław Gumkowski rachował na głos: — 200 tysięcy trzeba liczyć lekko, a skąd je wziąć? Zresztą, papierki to może i by się znalazły, ale gdzie kupić gwoździe, cement, wapno? Chcę żłób zbić i nie mam czym. Czy remont klubu w takich ciężkich czasach nie jest porywaniem się z motyką na słońce?

Szczepan Ogonowski zawołał z końca sali: — A pewnie, że tak! Warto przemyśleć, czy nie lepiej za te pieniądze postawić zupełnie nowy. Przecież tu trzeba wymienić strop, ściany, belki.

O może jednak spróbować? — fachowców przecież nie brak. Józef Radwański obszarowałby — ale tylko z zewnątrz; Wojtek Wojsz wymieniał — ale tylko sufit i futryny; Franciszek Radwański otynkowałby — ale z zewnątrz i pomalował od środka. Stanisław Kotowski woli poczekać, aż budynek wyremontuje oświata, a winni odpowiedzieć za dewastację społecznego mienia.

Po wstępnych szacunkach, deklaracjach, zwrócili się w stronę naczelnika i prawie chórem zapytali: — Skąd wziąć pieniądze? Ile do tego interesu dołoży Urząd Gminy? Jerzy Śledziwski wołałby nie odpowiadać na te pytania, zanim nie ujrzy pierwszych prac mieszkańców wsi — przecież to oni będą korzystać z tego obiektu — wstrzymywał się więc z odpowiedzią. Zebrani odczytali to jako próbę wycofania się ojca gminy z przedsięwzięcia: — Jeśli naczelnik nam nie dołoży, to niechaj odda naszą nagrodę, którą zdobyliśmy kilka lat temu w konkursie: „Wieś białostocka gospodarna i kulturalna”. Myśmy dostali papierkę, a pieniądze zwinął Urząd Gminy i nawet nie zapytał nas, na co je można przeznaczyć?

Naczelnik zadeklarował wyjaśnić, gdzie podziały się nagrodowe pieniądze. Obiecał sprowadzić rzeczoznawcę, który oszacuje koszty remontu

latach — lecz rozdziera go niezgoda. Wieś dzieli się na starych i młodych; na tych, którym — dzięki wyśnionej melioracji — zalewa pola i nie zalewa; na tych, którzy lubią partię i partii nienawidzą: — Mają do nas żal o to, że zginięły im pieniądze z nagród. Przecież one zostały zużyte na pożyteczny cel. Wieś dostała z nich dofinansowanie do budowy wodociągu. Inni pokrywali 25 procent kosztów, a Wyszymierz tylko 7,5. Było to kilka lat temu, ale tego już nie pamiętają. Lżej im narzekać, jak to w gminie Szumowo jest ciężko. A czy my rzeczywiście jesteśmy tacy źli? Niech pan spojrzy przez okno. U nas, przed Urzędem Gminy i w całym Szumowie porządku wiosenne są już porobione. Tam, jak mandatu nie wlepisz albo nie pogroziś jakąś karą, to powiedzą „zaraz zaraz sprzątnę” i to „zaraz” będzie trwało kilka tygodni albo i całe lata.

Narzekają na meliorację. Przeciętnie na 3500 hektarów występuje 100 usterek. Nie są temu winni ani melioranci, ani Urząd Gminy, że czegoś nie dopatrzył. Zależy to od jakości gruntów, materiału z jakiego wykonano są drewny. Mają do nas pretensje, że rowy są zaniedbane przez Spółkę Wodną. Ostatnio postanowili odłączyć się od tej organizacji i stworzyć własną. Podobnie zamierzają postąpić Radwany, Zareby, Ostróżne. Ale co oni mogą zrobić sami, gdy tu potrzebny jest sprzęt. Antoniemu Prosińskiemu zalewa. Był u szefa Wiejskiej Spółki Wodnej, a ten mu powiedział: „trzeba wziąć łopaty i kopać”. I co z tego, że oni dokopią się do śączka, zobaczą jak on wygląda, jeśli do tego celu potrzeba ciężkiego sprzętu. Niech nawet złożą się po 5 tysięcy złotych, przyjdzie koparka do jednego, do dwóch. Nie, w Wyszymierzu nie przejdzie, żeby wszyscy płacili za jednego.

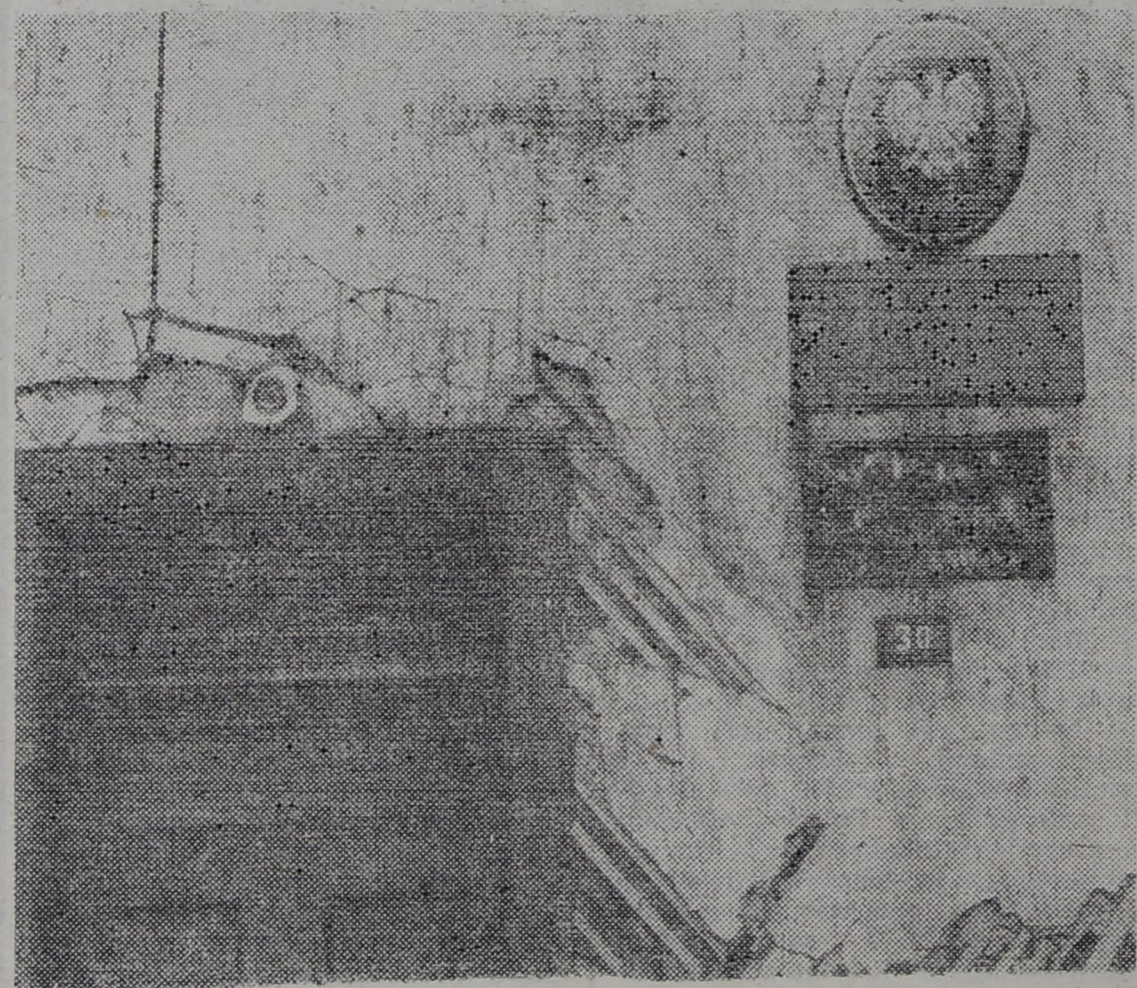
Gdzieś popłatały się, a może i zarosły mułem drogi zaufania wiodące od Urzędu Gminy do Wyszymierza i z powrotem. Szczepan Ogonowski wyciągnął za pazuchy zwitek papieru i powiada: „Niech pan go przeczyta. Jak wół stoi, że w naszej wsi zostały położone chodniki. Jak żyje, to takiego kłamstwa nie widziałem. I nie wierzę w to, żeby nasze pieniądze z nagród, do których tylko wieś miała prawo, poszły na wodociąg — myśmy płacili z własnej kieszeni. Oni musieli na nie znaleźć jakąś inną dziurę: budowali drogę z Dużej Paproci do Andrzejewa. Koszt wyniósł 2450 tysięcy, a po jej ukończeniu przyszło zapłacić 3600 tysięcy. Musieli czymś doszłukować. Myślę, że nagroda Wyszymierza bardzo im wtedy była na rękę. Stąd ta cisza, brak papierów. Sprzyja jeszcze temu zmiana naczelnika Urzędu Gminy. Zagladam do podanego mi dokumentu: „Wieś Wyszymierz z uwagi na położenie przy trasie E-12 wytypowana było w latach 1973-74 do generalnego uporządkowania w związku z odbywającymi się dożynkami centralnymi w Białymstoku”.

W ramach porządkowania tej wsi położony został w tej wsi dywanik asfaltowy, wybudowano chodniki, dokonano naprawy lub budowy nowych ogrodzeń. Wydano też decyzje na rozbórkę starych, nie nadających się do dalszej eksploatacji budynków, które źle wpływają na wygląd. Naczelnik Urzędu Gminy w Szumowie Władysław Polak”.

Rudery zostały uprzątnięte. Płoty odsuwano od drogi kilkakrotnie, właśnie pod rzekome chodniki, lecz puste miejsce na nie pozostało do dziś. Powiadają mieszkańcy Wyszymierza: — Po cholere musieliśmy być wtedy prześchłymi na urrrra. I to jeszcze niektórzy po kilka razy, bo z początku ustawili je za blisko. Ogonowscy prawowali się o zwrot kosztów przesunięcia płotu. Władysław Wyszymierski, od którego przodka-geodety nazwa wsi pochodzi, sądził się o niewłaściwe zainstalowanie urządzeń melioracyjnych, wskutek czego ma bajoro na swojej posiadłości. Prawie wszyscy ambitniejsi chłopcy czują się rozżaleni za pominięcie ich głosu w decydowaniu swoją nagrodą.

Zapytany o remont klubu jeden z mieszkańców Wyszymierza odpowiedział: — Wieś to jest szlachetna i bardzo ambitna. Nie pozwoli się znieważać i oszukiwać. A niestety — Urząd Gminy udowodnił nam w poprzednich latach, że może się z nami nie liczyć. Więc my teraz czekamy.

STANISŁAW ZIELIŃSKI
Fot. GABOR LORINCZY



prowadzi do używalności, kto go zniszczył. Może wreszcie urzędy nauczą się szanować społeczna wiejską pracę.

Goryczy wiele, bo któż jej we wsi nie nosi po latach papierowych sukcesów, propagandowych triumfów o zaopatrzeniu rolnictwa, reformie szkolnictwa najlepszej pod słońcem.

Organizator zebrania, Czarek Wojsz, przewodniczący ukończonego koła Związku Młodzieży Wiejskiej w Wyszymierzu już wcześniej zdradził się z obawą, czy zebranie nie potoczy się na tory narzekania na gminę, województwo i cały świat. Próbował więc ingerować: — To, że budynek jest zdewastowany, wszystkim wiadomo. Nie chodzi o płacz nad nim, lecz uratowanie go, a to możemy uczynić tyl-

budynku, ale wieś musi wyznaczyć grupę inicjatywną. Nowy punkt zebrania, nowe żarty i psikusy: sąsiad podawał sąsiada, a sam się wycofywał. To „nie mam czasu”, to „się nie zna”, „a po co mi się mieszać na te lata do społecznych spraw, gdy temu klub nie jest potrzebny. Młodzi chcą mieć, to niech sobie budują”. Po długich targach i licytacji doszło wreszcie do wyłonienia grupy inicjatywnej: trzech Wojszów, dwóch Radwańskich i Stanisław Kotowski.

Upłynęły trzy tygodnie. A oni wciąż mieli „na dniach zebrać się” i urządzić zakres i podział prac.

Stanisław Cwalina twierdzi, że Wyszymierz i teraz byłby silną wsią, potrafiącą dać przykład innym — jak w poprzednich



— Kto ze mną pobiegnie? — Grażyna popatrzyła na nas błagalnie. Wzruszyliśmy ramionami.
— My mamy już pary — odezwiała się Iłona.

Grażyna odczekała, aż wuefmen da znak do startu i poleciała sama.

Po wuefie każda z nas wskakiwała pod prysznic. Grażyna, jak zwykle, musiała czekać, aż wszystkie się wykąpią, dopiero później mogła wejść pod natrysk. Przez to spóźniała się często na następną lekcję. Dziś również dziewczyny specjalnie długo się kąpały, aby wyjść tuż przed dzwonkiem. Grażynie zostało niewiele czasu.

Gdy weszła do klasy, lekcja już od paru minut trwała.

— Grażyna, czy ciebie dzwonek nie obowiazuje? — złoślił się matematyk. — Ciągłe się spóźniasz.

Nie próbowała się usprawiedliwiać, bo ilekroć to robiła, profesor złoślił się jeszcze bardziej.

— Przepraszam — powiedziała tylko i usiadła w ławce.

— Chodź do tablicy. Rozwiążesz jedno zadanie.

Stała przy tablicy i zaczęła zastanawiać się nad zadaniem. Było trudne. Wreszcie, za dużą pomocą matematyka, zdołała je rozgryźć.

— Bardzo słabo. Proponowałbym, aby ktoś z klasy pomógł ci w matematyce. Benita, ty jesteś dobra z mojego przedmiotu, mogłabyś pomóc koleżance — profesor zwrócił się do przewodniczącej klasy.

Benita wykręciła się. Podobnie Anka i Renata. Mimo iż nie byłam orłem w matematyce, miałam zamiar się zgłosić do pomocy Grażynie. Jednak Agata, czując, że chce uciec, przytrzymała mnie i szepnęła: — Stracisz u nas miejsce.

Odetchnęłam z ulgą, gdy zaofiarował się Łukasz.

Kiedy wychodziliśmy z klasy, matematyk spojrzał na nas i powiedział: — Nie chciałbym być nigdy waszym kolegą.

**DOROTA
Z BIELSKA-BIAŁEJ
lat 19**

Dyskutowaliśmy w gronie kolegów nt. godności ludzkiej. Zastanawiające jest to, że człowiek, najdoskonalszy z bytów, potrafi być anielsko dobry i zły jak szatan. Potrafimy poruszać się w granicach od bezgranicznego dobra do absolutnego zła. Przykładem tego mogą być hitlerowskie obozy koncentracyjne: ludzie — z jednej strony — pomagali sobie, dzielili się chlebem, z drugiej strony — „człowiek” ubrany w czarny mundur esesmana mordował, bił, znieważał także człowieka, tyle tylko, że oddzielnego w obozowy pasiak.

Miarą naszej godności jest szacunek okazywany drugiemu człowiekowi. Dostrzeganie w drugim równego sobie, czyli tzw. partnerstwo — winno być podstawą życia w rodzinie, w państwie, w każdej społeczności. Każdy system społeczny pozbawiony tej prawdy musi ulec unicestwieniu. Widzimy to na przykładzie wszelkiego rodzaju dyktatur, które wcześniej czy później upadły, gdyż człowiek nie szanował człowieka. [...]

Oczekiwanie — stale na coś czekamy... Na spotkanie z ukochaną, na zdanie egzaminu, na tyko, tyle różnych rzeczy. Oczekiwanie to stopnie, po których dochodzimy do celu. Nie możemy się go wyrzec, podobnie jak nie wyrzekamy się nadziei. Nie mogę się zgodzić z nie-mądrym przysłowiem: „Nadzieja to matka głupich”. Moim zdaniem — jest odwrotnie: tylko człowiek głupi trwa w beznadziei. Nie oczekuje on niczego lepszego, gdyż nie zdaje sobie sprawy z tego, że może jeszcze coś lepszego osiągnąć.

Odwieczny konflikt między starszym a młodszym pokoleniem. Ciągłe słyszymy starą śpiewkę: „Za naszych czasów tego nie było”. Nie było? To bardzo dziwne... Czyżby starsi w swojej młodości byli świętymi z gipsu? A jeśli nawet byli lepsi (co jest wątpliwe), to czy na każdym kroku muszą to nam wypominać?

**ANDRZEJ Z PSZCZYNY
II kl. LO**

Zrobmy coś. Znajdźmy to, w co moglibyśmy wierzyć. I — do cholery — nie stojmy tak beczynnie. Straciliśmy wiarę w prawdę, Boga,

pieniądze, alkohol, marihuanę. Odrzucamy imperializm, nacjonalizm, romantyzm, hiperseksualizm. Nie nas nie obchodzi miliony umierających z głodu. Obojętnie patrzymy na wzajemną walkę ze sobą wrogów ideologicznych. Nie obchodzi nas wyścig zbrojeń, kierowany przez maniaków, którym — obojętne jest, co stanie się ze światem za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. Nie możemy doszukać się żadnego w niczym sensu; brak nam celów, do których moglibyśmy dążyć.

Więc zmieńmy świat, który nam nie odpowiada. Stwórzmy nową religię, ideę. Jej zasady mogą być sprzeczne z sobą: niemoralne albo ascetyczne; ogłośmy bunt i zerwanie z przeszłością lub nawiązujemy do wielowiekowej historii i tradycji. Zapał albo gniew pozwólą nam rzucić zmęczenie i rezygnację. [...]

Listopad, szósta rano, autobus. Jeszcze tylko trzech, cholera, posuńcie się! Zimno. U mnie było minus sześć. Podobno od nowego roku będziemy mieć o tysiąc więcej? I co za to kupisz? Moja stara wczoraj dwie godziny stała za chlebem. Bo to, panie, niemożliwe, żeby trzydziści sześć lat po wojnie... Może coś się zmieni. Ale tego, co nakradli, nikt im już nie zabierze. Ja bym tak ich wszystkich... To kto by wtedy został? Przecież każdy coś kombinował? Ale my — za deskę czy kilo gwoździ — do ciupy albo na pysk z roboty. Teraz się już nie damy! Stary, załatw mi te części. Za cholere ich nie mogę dostać. Co

ście, odnoszę się z szacunkiem, lecz im nie schlebiam. Wszystko to można jednak jeszcze wytrzymać. Najgorzej jest na lekcjach wychowania fizycznego. Jestem wciągnięty i słaba fizycznie, a w dodatku — bez talentu sportowego, i dlatego też jestem często pośmiewiskiem. Wśród koleżanek liczy się najbardziej ten, kto gra dobrze w piłkę i w tenisa, a na naukę zwracają mniejszą uwagę. Może i mają rację? Często marzę o tym, aby być taka, jak one: średnio się uczyć i zabłysnąć w sporcie. Co mam robić? Pozostają mi tylko marzenia.

**MAJKA ZE SZKLAR
lat 15**

Piszę, bo może już nigdy nie będę miała okazji lub odwagi napisać. Właściwie to nie wiem, jak zacząć. Mam na imię Beata i urodziłam się pod znakiem Ryby. Ryby nigdy nie były uważane za szczęściarzy. Są wrażliwe, nie zdecydowane i samotne, dlatego że rzadko kochają, a jak już kochają, to szczerze i są absolutnie wierni. Nie chcę opisać siebie tak, jak to się robi w życiorysie dla różnych instytucji. Dlaczego nie piszę w życiorysie np., że jak byliśmy mali, to nie chcieliśmy siedzieć na nocniku, w szkole ciągnęliśmy dziewczyn za włosy, albo że lubiliśmy dzwonić sąsiadce do drzwi, i wiele, wiele innych rzeczy, żeby ten urzędnik miał się z czego pośmiać?

17 lat to trudny wiek dla dziewcz-

na moją pomoc. Nie udaję, że nie widzę kaleki czy kobiety „przy nadziei”.

Ostatnio rozmawialiśmy z dziewczynami na temat przerywania ciąży. Niektóre twierdziły, że nigdy by nie zdecydowały się zostawić panna z dzieckiem. Ja nie czekałabym na to, czy ten ojciec łaskawie ożeni się ze mną, wolałabym wychować dziecko sama niż z człowiekiem, który nie chce odpowiadać za swoje czyny.

Jestem abstynentką: nie palę, nie piję i właściwie nie używam wszystkiego na „p” oprócz paczków, a przez to jestem jak gdyby na boku tego tłumu.

**BEATA Z KALISZA
lat 17**

Cóż mogę napisać o dzisiejszym dniu. Chyba to, że po prostu minął i żadne waluty świata go nie wróci. Dlaczego czas nie pracuje dla człowieka? Chciałabym się teraz zatrzymać, mieć zawsze 18 lat i bez-trosko patrzeć na świat. T dziwnie, ale nie tylko ja, wielu moich kolegów tego pragnie. Być może boimy się obowiązków, jakie na nas spadną wraz z kolejnymi datami urodzin. Odpowiedzialność straszy jak najlepsza jędra. Ale — z drugiej strony — ja pragnę przyszłości, chcę mieć dzieci, szczęście małżeńskie, a w ni — upragniony spokój. [...]

Biorę życie zbyt prosto, kiedy wszyscy je komplikują, robią problemy. Ale dlaczego? Przecież to wprost prowadzi do neurastenii. Jak można siebie tak wykańczać? Przeważnie kłopotami codziennego życia i tak dostarcza nam pikantnych przeżyć.

Lubię obserwować ludzi. Czasami jest to śmieszne, czasami zaś smutne. Jest fajnie, kiedy idzie się ulicą, nie zna nikogo. Można wtedy śpiewać bez obawy o zdanie ludzi. A jeżeli już wejdzie się na swoją ulicę, następuje gwałtowna koncentracja. Nie wiadomo przecież, zza którego rogu wyłoni się sąsiad. Ten przyklejony uśmiešek doprowadza mnie do szału. Jesteśmy miłym narodem, tylko w jakim procencie prawdziwie? Jednocześnie walcząc ze wzmocnionymi nakładami inwestycyjnymi, należy podjąć kampanię przeciw obłudzie. Kto wie, czy to przypadkiem nie ona doprowadziła nas do obecnego stanu. [...]

Dostałam do wniosku, że szkoła jest poligonem cierpliwości. Wytrzymuje ten, kto ma większe panowanie nad sobą. Bo przecież mało jest lekcji naprawdę ciekawych, takich, które fascynowałyby wszystkich. Przeważnie jest to zwykła odsiadówka. Nie raz przyglądałam się swoim koleżankom i kolegom, i muszę przyznać, że był to widok oształniający. Zastanawiałam się, co każdy z nich może myśleć? Jestem pewna, że więcej niż połowa błądziła we wspomnieniach lub po prostu była gdzieś daleko. No, a teraz kwestia zmęczenia. Solidny uczeń, który przez osiem godzin budzi w sobie uwagę, nawołuje do myślenia, odpowiedniej pozy, nieodownego uśmiechu lub nawet do zgodnego przytaknięcia głową nauczycielowi — wraca do domu kompletnie wykończony. Pada z nóg, aby za chwilę znów podnieść się do nauki. Najczęściej siedzi do 24.00, a rano budzi się o 6.00 z przeświadczeniem, że oprócz bólej głowy — nie nie posiada. Oczywiście, myli się, czego dowodem są jego oceny. Oprócz wyżej opisanego ucznia istnieje cała rzesza innych. Oni przychodzą do szkoły dla zabawy, nie przejmując się niczym. Mówią: „Jedna dwójka mniej, jedna więcej”, i błądzą dalej. Wśród nich można wyróżnić też różne osobowości: tych, którym naprawdę nie idzie, no i prawdziwych leni. Ci ostatni zazwyczaj opamiętują się w ostatniej klasie, a że są przeważnie zdolni, dają sobie radę. Podczas gdy „solidna firma” przez cały czas stoi pod ścianą w obawie o nienaruszalność opinii. Bardzo często jednak dochodzi do przekonania, że prymusem być nie warto. Raz, że to strata czasu i zdrowia, dwa — o dostaniu się na studia decyduje szczęście łącznie z „pomocą Bożą”, trzy — z tracącymi się własne zainteresowania, skoro umie się wszystko. Często prymus stoi przed trudną decyzją wyboru zawodu, szkoły, bo mówi się, że on jest na każdą stronę dobry.

**JOLA Z BIAŁEGOSTOKU
lat 18**

poligon cierpliwości



tam, jakoś wyniesiesz! Wypili mi litra, a potem jeszcze Antek przyniósł pół... To dzisiaj o szóstej u Kazka? Cześć!

**PIOTR
Z BIELSKA-BIAŁEJ
III kl. LO**

Od pierwszej klasy po dzień dzisiejszy jestem prymuska i to jest całe moje zmartwienie — tak, zmartwienie i rozpacz. Często zastanawiam się, czy jest jakieś wyjście z mojej sytuacji, czy też muszę żyć z przezwiskiem „lizus”. Powiedz mi, mój przyjacielu, czy pojęcie „prymuski” można odgraniczyć od określenia „lizus”? Myślę nawet czasem o tym, aby przestać się uczyć, aby się nie starać i poprzestać na czwórkach i trójkach, ale to są wszystko tylko plany, bo ja — mimo własnej woli — całe popołudnia wkuwam, chociaż rodzice po prostu już nie pozwalają mi tyle się uczyć, nie raz krzyczą na mnie, że psuję sobie zdrowie. [...]

Czuje się samotna i czasem myślę, że nikt się ze mną nie liczy. Najgorzej uwidacznia się to w klasie. Aczkolwiek śmieję się, żartuję i rozmawiam z nimi, to jednak czuję się obco. Niektórzy twierdzą, że dostają oceny „po znajomości”, ale tak nie jest. Do nauczycieli, oczywi-

szczy, nie jest już dzieckiem i jeszcze nie kobietą. Nigdy nie lubiłam koleżanek klasowych. Klasa nasza była podzielona na grupki, które żyły swoim życiem. Każda tworzyła szczelnie zamknięty krąg. Większość czasu traciłyśmy na opiótkowywanie się wzajemne. W podstawówce uczyłam się średnio, bo mi się nie chciało. Potem podjęłam „życiową decyzję” (jak to się mówi) i poszłam do Zasadniczej Szkoły Handlowej. Nie wiem dlaczego dziewczyna czy chłopak uczący się w zawodówce jest uważany za mniej wartościowego człowieka. Znam wiele inteligentnych dziewczyn chodzących do zawodówki, bo nie boją się pracy fizycznej, która wcale nie ubliża kobiecie. A dziewczynom z liceum mający się wizja biurka, papieroska i kawki. Praca fizyczna jest atrakcyjniejsza, ciekawsza, człowiek zawsze w ruchu, nie ma tej monotonii pracy papierkowej.

Teraz w kraju panuje trudna sytuacja gospodarcza i nastąpiły trudne czasy dla wszystkich, także dla ekspedientów. Ale my się nie załamujemy i staramy się nadrobić braki dobrym słowem, poradą. Ja bardzo lubię (w przeciwieństwie do moich „koleżanek” sklepowych) pomagać dzieciom, starszym, po prostu ludziom potrzebującym i czekającym

pokolenie postawy



Mera i jej koleżanki w liczbie szesnastu stoją po jednej w boksie, naprzeciwko młodzieży w takich samych rzędach; jeszcze obok, w poródowce, jakaś się zmierza ocielić albo też dopiero co się ocieliła; stoi też, chwiejąc się, noworodek; zobaczyły dziennikarza to wyciągają morderczy sztachety i czekają — czas żarcia, a może dojenia nadszedł.

Ale to nie ja. Za mną idzie Łagoda młodszy, czyli Mietek, a to jego krowy i niech on się martwi.

— Codzienie przyczepa żarcia — powie mi.

I po chwili: — Jakby się traktor zepsuł, to już nie wiem, chyba ścianę gryźć...

— I tak dobrze, że masz traktor — powiem ja.

— Mam, bo zacząłem od tego, że sobie ze złomu składałem — powie on.

—◇—

— Dobrze jest pokowboić na tych podmiejskich łąkach?

Patrzy na mnie Mietek jak na głupiego i mówi: — Czasem mam taką ochotę, cholerną ochotę, żeby rzucić to wszystko, zabrać dupę w troki i pójść, posiedzieć gdzieś za sto złotych dniówki...



Ale już za późno. Już go wciągnęło. A co trzyma? Miraż jutrzejszych kokosów czy może dzisiejszej legendy? Niby tak fajnie jest pokowboić na tych siedemnastu (z ojcowym) hektarach, dwadzieścia kilometrów od wojewódzkiego miasta i trzy kilometry od gminy? Legenda o tym, jak to dobrze specjalistom i że samo się robi — trwa, a Mietek patrzy na nią przez pryzmat dnia codziennego.

DZIEŃ NACZELNIKA

Gmina produkcyjna: 11 tysięcy hektarów użytków, 11,5 tysiąca ludzi; średnia gospodarstw niewielka — 3,4 hektara.

Jak dzielić? Na jednej kupce stos podań, na drugiej — kilka przydziałów. No, dla przykładu, roztrząsane, traktory, siewniki, kombajny. Zresztą z kombajnami to inna sprawa, bo po co wistula na trzech hektarach? Ale reszta: przydzielono pięć sztuk, a podań dwieście! Jak dzielić?

Jak budować? A ludzie dzisiaj chcą budować. Jest jakiś taki pęd do inwestowania. I nie można powiedzieć: inwestują najpierw w produkcję, potem dopiero we własne domy. (Pojechał ojciec, Władysław

Łagoda, do naczelnika po cement i cegły, pokazał plany domu i mówi: „U nas krowy mieszkają już jak krowy a teraz kolej na to, żeby ludzie mieszkali jak ludzie”. Naczelnik popatrzył i mówi, że faktycznie, zgadza się, plany na budowę może podpisać, ale materiałów nie da, bo nie ma. Bywa tak, że jeden Łagoda zajeżdża do stolicy województwa i zabiera za jeden kwartał przydział materiałów na budynek gospodarczy — a jest to przydział mniej więcej równy przydziałowi na całą gminę... Więc zastanawia się czasem Łagoda młodszy, czy nie dać sobie spokoju i nie iść do miasta.

Ale Łagoda starszy spokojny jest: — Mietek od młodego do ziemi chciał...

Zbiera się ojciec, żeby synowi dać, co swoje, a sam weźmie rentę i jeszcze pomoże.

— I taka jest kolej rzeczy. W naszej rodzinie każde pokolenie budowało, zostawiało coś po sobie. Tak będzie i dalej.

Prosi naczelnik dziennikarza na kawę i odpowiada bez namysłu na pytanie o najlepszego w gminie: — Łagodowie, ojciec z synem, młodszy ma kartę specjalisty z numerem trzecim, mieszkają niedaleko. Warto zobaczyć.

W 1939 Władysław się ożenił z Janiną i sprowadził ją do domu rodziców. Ze związku tego w 1941 przyszła na świat córka Adela, która dzisiaj mieszka w Warszawie, a w dziesięć lat później — syn Mieczysław.

Tymczasem wybuchła wojna.

— Różnie było... — powie ojciec Władysław, a reporter spędzi nad tym zdaniem długie godziny, aby wycisnąć z pana Władysława komentarz do owego: „różnie było”.

Gospodarowali dalej. W 1949 r. zmarła matka Władysława. Została po sobie miłość do tego gospodarowania, bo nie ojciec. Ten — o wielkiej uczciwości człowieka — przekazał dzieciom umiłowanie uczciwości, pierwszy dom zbudowany przez siebie i pierwszy krok do stawiania się legendy o dziwadle Łagodów: latem chodził budować, zimą... tkął na krosnach, ziemię zostawiając żonie we władaniu. Zszedł ze świata w czerwcu 1980 r. w wieku 85 lat, gdy był już czas następnego dziwadła, wnukowego.

—◇—

Przerwa. Mietek porzucił reporterów, niech sam sobie szuka i gmera w ich życiu. Zajął starą koszulę i spodnie, poszedł za stodołę.

Sześciu murarzy ciągnie pod dach nowy budynek gospodarczy. Wielki — dwa pomieszczenia, wielkie wrota i wysokość taka, żeby się i wistula zmieściła, którą z sąsiadem do spółki kupili, i dwa traktory, i dwadzieścia sztuk różnego sprzętu gospodarskiego, i jeszcze ta kuźnia polowa, którą zauważyłem w starej szopie: — Bo najlepszy dzisiaj rolnik taki, który jest wszystkim...

I po chwili: — Ale przecież marzę o takiej dla siebie przyszłości: budzę się rano i myślę, co mi potrzeba, potem wykręcam numer telefonu i wszystko pod chałupę mi podwożą. Telefon już mam.

Potem opowiada, jak kupował łańcuch napędowy. Zjeździł za nim swoim tarpanem całe dwa województwa i wreszcie ktoś z rodziny zadzwonił, że widział za Warszawą. Pojechał, przywiózł dla siebie i jeszcze dla miejscowego SKR-u, bo i tam, biedacy, stali z robotą. Dopowiada: — Byli tu kuźnicy; ostatecznie by się wykłapało, co trzeba, ale kowali urzędy wykończyły podatkami. Zostały urzędy, nie ma części. Jak tak dalej pójdzie, będziemy jedli urzędników.

Zatem — poszedł budować garaż na sprzęt, a ja za nim.

Czterech na górze muruje, dwóch miesza wapno i nosi cegły, przywiezione traktorem. Trzeba to porzucić na górę. Mietek wchodzi na rusztowanie. Zdejmuje marynarkę i biorę się do podawania. Śmieją się murarze: — To sobie redaktor ręce pokierujesz!

Ja na to: — Polejemy spirytusem, to się zdezynfekuje. — A do Mietka: — Wieczorem gdzie chodzisz na wódkę?

— Ja tam nie piję...

Murarze przyświadcza. Nie żeby nie postawił po robocie, ale sam nie pije. I wszyscy się zastanawiają, jak mu się udało to wszystko rozbudować. Następne dziwadło Łagodów.

DZIEŃ OJCA

— Coś z plecami. Trzy dni przeleżałem, ale przecież czas się podnieść, Mietkowi pomóc, sam chłopak rady nie da. Matka już nie w tych siłach, pomoże co w domu, ale przy robocie musi być mężczyzna. Mietek nie chciał nawet do technikum iść, tylko od razu do ziemi, ale przecież w końcu się zgodził. Niech pan powie, czy dzisiaj może kto dobrze bez szkoły robić i do przodu iść? Co dla chłopca na wsi ważne? Pomoc jak największa, traktowanie wedle wagi tego, co robi, zaufanie, żeby mu się chciało robić i żeby był pewny jutra.

Gdy pan Władysław się ożenił, przypało mu z całego pięć morgów i trochę żona wniosła. Zaczął z tym następny etap rodzinnej epopei. Jak raz zakończyła się wojna i zaczęło go pilić, żeby „coś robić”. Założyli w kilku kółko rolnicze, potem Bank Spółdzielczy, w którym już od lat dwudziestu jest przewodniczącym rady. Potem jeszcze, po tej swojej BCH-owskiej przeszłości, został

wciągnięty do komisji rolnej Wojewódzkiego Komitetu ZSL-u i do rady w SKR-ze. Wystarczy?

Mało. Wiesz jest rozwleczona i podzielona na trzy części. Wśród 27 kilometrów dróg opasujących — jedna wiedzie w stronę stolicy województwa. Trzeba by tylko wybudować 3,2 kilometra dobrej drogi i można puścić wtedy autobus szkolny, bo teraz dzieciaki po trzy kilometry chodzą. Naczelnik pomysł poparł.

W marcu 1979 r. zebrały się chłopcy u Mazurka w klubie rolnika — powołały komitet, do którego weszło 19 osób. Pan Władysław triumfował — udało się. Ale potem poszły chłopcy do domu i po rozum do głowy: na cholere nowa droga, przez lata po takiej chodziliśmy i dobrze było. Jeszcze zdążyli w 1979 kilometr stabilizacji zrobić i 200 metrów nasypu na dwa metry wysokiego, kiedy przyszły opóźnienia w polu i wątpliwości tych, którzy bezpośrednio przy drodze nie mieszkają. W rezultacie wyszło na wiosnę do roboty czterech upartych: Nizioł, dwóch Wodków i Władysław Łagoda, który przy drodze też nie mieszka, ale przecież powiedział naczelnikowi: zacząłem to i skończę...

Prowadzi mnie do tej drogi. Przyjechał dzisiaj pożyczony spychacz i miał wyrównać kawał, żeby można było walec sprowadzić i w ogóle przejeżdżać. Zepchnął pięćdziesiąt metrów piasku. Kierowcy już nie ma, a spychacz stoi za Mazurka chałupą. Zachodzimy. Młody Mazurek wylewa boksy w oborze na pięć stanowisk; od czegoś trzeba zaczynać. Co chwila podbiega do Łagodów, podpatrzy, popyta, czasami przyjdzie pan Władysław, jak dzisiaj, i podpowie: — Od ściany zrób wyżej, żeby woda ściekała, bo miotła będziesz wygarniał.

— To ilu u was już tych kowbojów?

— Będzie chyba 17 specjalistów...

— Ktoś musiał zacząć — patrzę na ze śmiechem na pana Władysława. Kiedys dzisiaj dobrze się śmiać; a gdy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych poszło po wsi, że Łagoda wywalił z obory gnój, wprowadził krowy do stodoły i leje beton — pukali się w czoło: „Lepiej już kartofle żreć niż w takie coś się pchać!”

Pchał się. Ale najpierw niech Mazurek pokaże klub. Do punktu skupienia mleka dobudowany jest kawałek domu, w nim — duża sala z telewizorem, książkami i gazetami, a także mały bufet z herbatą i kawą. To klub rolnika, kolejne dziwadło Władysława Łagody, który wymyślił, że można zrobić konkurencję pobliskiemu sklepowi. Jedną ścianą w klubie pozawieszana dyplomami: ten za imprezę, ten za nalecenie konkursu; podziękowania i wyróżnienia dla kierownika Mazurka, że zorganizował, poprowadził i przeprowadził.

Ale i tak myśli w klubie przychodzi do głowy filozoficzne: — Prawie każdy w chałupie telewizor ma. Gdyby tu jeszcze był kolorowy, ściągnąłby chętnych, a tak telewizja trzyma w domu, choć życia rodzinnego nie rozrusza.





Doimy te krowy z Ireną, żoną Mietka, doimy, a polega to na tym, że ona zakłada, trzyma, przelewa, a ja się przyglądam. Dzisiaj doją po dwa razy: o 6.00 i 18.00 — na trzy konwie, elektrycznymi dojarkami. Kiedyś doili trzy razy, ale doszli do wniosku, że będzie zarobek czasu (żonie też się coś należy), a strata mleka nie jest tak duża. Dawniej doili też na dwie konwie, ale Mietek wymyślił, żeby dokupić jeszcze jedną, to będzie szybciej; w końcu rezuje na jakieś trzydzieści krów w przyszłości.

Pojechał kupować. Magazynier powiedział, że samych konwi nie ma, tylko z całym osprzętem. Kupił. Dziesięć tysięcy złotych więcej.

DZIEŃ IRENY

— Codziennie za kucharkę na dziesięć osób robię. Dzisiaj na śniadanie chłodnik i wędlina, murarze muszą dobrze zjeść; moim też się należy, przez to budowanie z sił całkiem opasać można. A przecież Mietek robi wszystko w domu i koło niego. Jakby tak do wszystkiego kogoś wołać, to byśmy z tych długów, co je mamy, nie wyszli do końca życia. Na samą oborę wzięliśmy 650 tysięcy na 35 lat; szczęście, że są dwa lata karencji. Kosztorys opiewa na 906 tysięcy.

Jeszcze są Jurek, Rafał i Wojtek, od pięciu do roku. Ponadto trzeba



mieszkanie posprzątać, w obejściu zrobić, zastąpić Mietka, kiedy pojedzie gdzieś w sprawach własnych albo społecznych, w końcu przez ubiegłe trzy miesiące chyba go ze trzydzieści dni nie było.

O czym marzy Irena? Tuż przy starej chałupie stanie ten nowy dom: na dole wielka kuchnia na 38 metrów kwadratowych, pokój, żeby, gdy ludzie przyjdą, było gdzie posadzić; na górze trzy sypialnie, balkon; dużo wykończeń drewnianych. Wokoło zieleno, czysto. A jak już wszystko będzie pobudowane i urządzane, to może się gdzieś pojedzie?

Czy wiedziała, co ją czeka?

Wychodził Mietek Albinakównę po siadłku, prawie przez płot, a znali się — zawsze. Robotę także znała zawsze. Głupie pytania. Ale chyba oboje się nie spodziewali, że tak zdołają to wszystko rozhuścić i ciągnąć przez lata. I zbliżyć się do całkowitego zakończenia.

—◇—

Noc się zbliża. Jeszcze stoję w rozkroku i rzucam te cholerne cegły Mietkowi na rusztowanie, byle podgonić, byle do wiechy zdążyć przed ciemnicą.

DZIEŃ MIETKA

— Przed wojną dziadkowie mieli chyba z osiem krów. Po wojnie ojciec zaczynał z dwiema. Można powiedzieć: krowia tradycja trwa. Starą oborę przebudowałem pod koniec lat sześćdziesiątych na osiem stanowisk. Tak nam doradzili wszyscy, bo byliśmy pierwsi, a i tak wydawało się, że to rewolucja. Dzisiaj myślę, żeśmy błąd wtedy popełnili z ojcem: trzeba było budować od razu dobudówkę i wystawić dużą oborę. Zgubiliśmy 10 lat...

Wiosną 1978 r. zaczęli budowę tej nowej obory i zakończyli jesienią 1979 r. Nowe dziwadło Łagody stało się faktem, ale już nie było takim wielkim dziwadłem, jak ta pierwsza obora i inne pierwsze rzeczy, które zaczynali.

Irena podaje herbatę, potem przynosi album ze zdjęciami rodzinnymi. Wołamy pana Władysława do pomocy, niech tłumaczy, co i jak. Powojenne losy jego i całej rodziny nie mogły się odprawić przy owych dwóch krowach. Patrząc z owego punktu widzenia — powstanie w 1963 r. jedynej zarejestrowanej w kraju prywatnej stajni, ujeżdżalni czy, jak kto chce, hodowli koni wierzchowych, nie powinno być zaskoczeniem dla rodowych kronikarzy. Zresztą: jak by na to nie patrzeć — ujeżdżalnia u Łagodów stała się faktem, który przewrócił wsio- we pojmowanie okolicy i przeprowadził w niej kolejną rewolucję. Co niedzieli przyjeżdżał tu instruktor i uczył chętnych jazdy, hippiki i w ogóle trzymania się na koniu.

Pokowboić nadszedł czas. Pierwszy zasiadł Mietek i stał się wkrótce, w wieku dwunastu lat, najlepszym dżokejem w okolicy, a niebawem i w województwie, gdzie wziął na zawodach. I nagrodę. Klub jeździecki Łagodów stał się głośny w kraju, bo jedyny i wygrywający ze sławami. Po paru miesiącach zjechał też do wsi pierwszy klient z zieloną gotówką, a dzieciarnia oblegająca, jak co niedzieli, teren treningów miała stosowną uciechę z nie spotykanych tu samochodów.

— Kalika Wierutna została sprzedana do Szwajcarii — pan Waldemar przerzuca karty w albumie z fotografiami i pokazuje konia z Mietkiem na wierzchu — Miała zerwane ścięgno. Na targu u nas nawet by nie spojrzeli, a ten tylko machnął ręką; wiedział, co kupuje i że będzie z niej dobre potomstwo. Do Niemiec poszedł Sternik — drugie zdjęcie z dedykacją po niemiecku. — Potem klient przysłał nawet zaproszenie, żeby Mietek przyjechał ujeżdżać im konie. Nie puściłem.

Za ten klub jeździecki pan Waldemar dostał Złotą Odznakę Polskiego Związku Hodowców Koni. Dorywam się do tego pudełka, bo dźwięczy metalem: są dwie odznaki „Zasłużony Pracownik Rolnictwa” (dla ojca i syna), jest „Za Zasługi dla Kółek Rolniczych”, dla województwa (ojca) i brązowa im. Janka Krasickiego (Mietka). A jeszcze „Zasłużony Pracownik Roku” „Mistrz Urodzaju”...

Po tych koniach Mietek zdziwiał dla wsi do reszty, ale dla nie-

których stał się godzien szacunku. W wieku piętnastu lat, ze znalezionych na okolicznych złomowiskach części, złożył traktor.

— To były czasy, kiedy na złomowiskach znajdowało się ciekawe rzeczy, na przykład całe przednie zawieszenie... Albo najciekawsze jest to, że dopiero po dziesięciu latach się sypnęło, a z nowego ursusa C-360 od razu poszły zawory i, w sumie, w ciągu dwóch lat był już remontowany tyle razy, że zliczyć nie sposób. Może by warto bardziej nie jakoś patrzeć niż na ilość?

DZIEŃ MERY

Jeść dadzą w żłoby, poidą są, woda z rury leci w razie potrzeby, boks zawsze czysty, bo wystarczy guzik nacisnąć i wybierak spod tyłka wygarnie; ciepło, spokojnie — można mleko dawać.

— Tego mleka — opowiada Mietek — będę miał na razie nie tak znowu wiele. Cały czas liczę, że jestem na rozruchu, bo nowa obora stoi dopiero od pół roku i ją trzeba jeszcze doszlifować. Dzisiaj wychodzę na zero, ale moje koszty będą się zmniejszały; mogę tu do trzydziestu krów mieć, a jeszcze jak mi ojciec przekaże swoje cztery hektary!

Coś go jednak trapi jeszcze: — Najbardziej niesolidność. Idę do urzędu, mnie każda minuta droga, a taka siksa w moim wieku herbatkę pije i zaszuwa: „Niech obywatel poczeka”. Och, ty w życiu! Ja mogę jej nawrzucać, ale co ma zrobić stary chłop, nieoblatany i niewyszczekany? I jeszcze jedno: na czymś robić trzeba, a miski olejowej do tarp- pana dostać nie mogę ani opony, piętnastki.

— Powiedz, Mietku, o ubezpieczeniach — odpowiada ojciec

Wiosna tego roku była ciężka. Łagoda zdążył zwieźć trochę siana z pola, ale innym gniło. Przyjechali urzędnicy z PZU, pomierzili i orzekli, że przepisy są jasne: płacić się będzie wtedy, jak duży procent pola będzie zniszczony, zaś tu nie przekracza 10 proc. bodaj z dwóch hektarów. W sumie: za mało szkody, żeby mogli wypłacić! Za skomplikowane to na chłopski rozum, który by kazał płacić za tyle, ile się zniszczyło, bo przecież z tych piętnastu arów już żarcia dla krów nie będzie, trzeba kupować, więc te parę tysięcy na przepicie nie pójdzie...

—◇—

Drze się murarz z za stodoły: — Mietek, a gwoździ nie masz?

— Wyciągajcie ze starego drewna, z desek, bo ja nie mam.

—◇—

— Kiedy znajdujesz na to wszystko czas?

— Jakoś trzeba. To mój czas, więc go nie przeliczam. Ale zawsze trzeba coś wybrać, postanowić. Ja drugą kadencję radnym w gminie jestem i zastanawiam się, czy dalej dam radę, a figurantem nigdzie nie chciałbym być.

Idziemy koło starej chałupy; pokazuje mi miejsce, gdzie nowy dom ma stanąć.

— Uparty, chociaż czasem zmęczony, jednak jestem. Dor miał być i będzie, może jeszcze w tym roku fundamenty zalejemy. O, tu się posadzi żywopłot, żeby odgradzał od obory, a tu będzie trawnik. Jeszcze tylko drogę utwardzić trzeba, uprządkować...

— A koniec kiedy będzie: budynki, zyski i wreszcie normalna robota?

— Za dwa lata. Dwa lata...

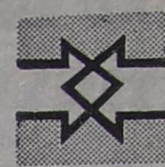
—◇—

Kolejny dzień upłynął spokojnie, przy dobrej pogodzie i normalnym staraniu o dzień dzisiejszy i jutro. Na farmie Łagodów najmłodszy, Jureczek, drze gębusię do kolacji. Rósł następca, ród trzyma fason. O, jak dobrze pokowboić...

Reportaż nagrodzony w konkursie „Boryna 81”, zorganizowanym przez „Kontakty” i Ludową Spółdzielnię Wydawniczą, a rozstrzygniętym w listopadzie 1981 r.

Fot. GABOR LÖRINCZY
Fot. CAF

spiecia



9
KONTAKTY
25.IV.1982

Naczelnik gminy Piątница grożąc dekretem z dnia 12 grudnia 1981 r. (art. 30, ust. 3) nakazuje rolnikom nawozić, orać, i obsiewać ziemię. Na wytyczne czekają piekarze, tramwajarze, stolarze i grabarze.

☆

Niektóre zakłady pracy realizują 4 „S” reformy gospodarczej, czyli szukania sensu w bezsensie. W Drogoszewie gmina Piątница gorzelnia zatrudniła specjalnego odrabiacza wolnych sobót, który potrafi każdego pracownika zastąpić przy produkcji. A co będzie, kiedy upodoba sobie zajęcie przy kierowniczym biurku i w poniedziałek nie zejdzie ze stanowiska?

☆

W Szczuczynie pewien nietrzeźwy młodzian powybił szyby w oknach CPN, Biurze Gospodarki Komunalnej, Barze Uniwersalnym i mieszkaniu prywatnym. Twierdził ponoć, że były bardzo brudne. Ani chybi podpatrzył ten sposób mycia okien na budowach.

☆

Były dyrektor łomżyńskiego oddziału WSS oświadczył, że nie odda telewizora i radiomagnetofonu (własność „Społem”), bo jak skalkulował, to mu się po podwyżce cen nie opłaca. A jeszcze niedawno powtarzał: „szanuj własność społeczną jak swoją”. Widocznie przy spadku z fotela spadła też jego świadomość.

☆

Koło Związku Młodzieży Wiejskiej w Cerkówce Dużej, w gminie Perlejewo, niebo zdaje się być przychylnie. Podczas zebrania inauguracyjnego działalność koła we wsi urodził się krzepki cielak, który od razu stanął na wszystkie cztery nogi i począł dziarsko biegać po oborze. Założyciele uznali to za arcypomysłny, strategiczny znak dla swojej działalności.

☆

We wsi Kostry Podśędkowięta od siedmiu lat stoi bez dachu potężna, nowoczesna, opuszczona obora. Wprawdzie mamy czasy szukania bardziej rezerw ludzkich, a nie materialnych, niemniej miejscowe władze mogłyby ruszyć głową pozadekretowo.

☆

Pracownica Banku Spółdzielczego w Andrzejewie na pytanie: „Co to jest socjalizm?” odrzekła celnie „Jest to ustrój sprawiedliwy i można w nim żyć”. Po czym pośpiesznie wyjaśniła: „Mieszkam u siostry, która nie bierze za to grosza; życie co tydzień przywożę w torbie od rodziców”.

☆

W tym samym Andrzejewie inwalida, po kilku operacjach, pozbawiony został kartek na mięso. Bo na papierze stoi, że rolnik. Nieważne, że ziemię wypuścił w dzierżawę: litera prawa jest dla władz literą. Co dla nas nie znaczy, że umiejący czytać nie bywa analfabeta.



plytowe szaleństwo

W związku z reformą gospodarczą pierwsza płyta długogrająca ulubienicy nastolatków i starszych panów — Izabeli Trojanowskiej — kosztuje obecnie 200 złotych, chociaż, według starych obyczajów, powinna kosztować 80. Inna sprawa, że ja, na przykład, nie dałbym za nią nawet 50, ale to już rzecz gustu.

Mamy dosyć dziwną sytuację, jeśli chodzi o przemysł fonograficzny; z jednej strony dysponujemy bardzo nowoczesną aparaturą, ciekawymi wykonawcami z kręgu muzyki rozrywkowej i najwybitniejszymi — jeśli chodzi o Europę — jazzmanami, a jednocześnie posiadamy chyba najgorsze płyty pod słońcem. Wszystko wskutek niezrozumiałej i paranoicznej wręcz polityki repertuarowej, nagrywamy bowiem bezustannie Waldemara Koconia i zespół Wawele, podczas gdy bezskutecznie na swoje krążki czeka Ewa Demarczyk czy Andrzej Zaucha. Do tego nagrywamy na trzeszczącej i zużywającej się szybko masie, dokładając potworną kopertę, wykonaną z byle jakiego papieru i byle jaką techniką; płytę wkładamy do nylonowego worka; po kilku razach wsunięcia jej do koperty ta wygląda tak, jakby zawierała zmiętą gazetę.

Kultura w państwie socjalistycznym — tak nas zawsze uczono — musi być sterowana, zaś naczelnym jej przesłaniem jest upowszechnianie autentycznych wartości, unikanie zaś względów komercyjnych i osiągnięcie negatywnych estetycznie. Do tej pory cała polityka przemysłu fonograficznego negowała jednak owe szlachetne pobudki, dlatego mieliśmy na półkach sklepowych płyty z Wawelami, natomiast brakowało dzieł wszystkich Fryderyka Chopina, próżno było szukać nagrań Haliny Czerny-Stefańskiej, a po książce z Konstantym Andrzejem Kulką trzeba było jeździć do NRD. Ła-



two sobie wyobrazić, co się będzie działo, kiedy ów przemysł — przedstawiony na własny rachunek — zacznie prowadzić swoją politykę, kierując się wyłącznie zasadami samowystarczalności, a więc maksymalnego zysku. Jeszcze nie tak dawno korzystał z mecenatu państwa, lecz ani państwo, ani — tym bardziej — świadomy odbiorca nie mogli się doprosić płyt z dobrą muzyką; obecnie wydawnictwa płytowe nastawiają się na odbiorcę masowego, który — jak wiadomo — chce Janusza Laskowskiego i Tercet Egzotycki. To nie są wymysły; we wszystkich ankietach sprawozdawczych ta ostatnia szmira zawsze wygrywała konkurs na najwięcej sprzedanych egzemplarzy.

Ponieważ nasza gospodarka stawia się na zarobek, to prawdopo-

dobnie z taką polityką utożsamiać się zaczął — co zawsze bywało w podobnych okolicznościach — poszczególne jednostki. Maksyma: jeśli ja się bogacę, bogaci się także mój kraj, tak popularna w latach siedemdziesiątych, funkcjonować zaczęła znowu. W ten sposób na półkach pojawiają się zapewne nowe płyty z piosenkami jednego z naczelników dyrektorów „Polskich Nagrań”, ukrytego pod znanym wszystkim pseudonimem, bo siła przebiecia dyrektorów będzie teraz dużo większa.

Proszę mi wierzyć, to nie jest krakanie, bom połowę zębów zjadł na rozgryzaniu zasad działalności przemysłu fonograficznego, i — niestety — nie udało mi się zrozumieć czegokolwiek. Jeżeli ów słynny dyrektor, zapytany na konferencji pra-

sowej, dlaczego nie ma kolejnych płyt Ewy Demarczyk, odpowiedział, że jej krakowski telefon milczy, a na list w tej sprawie nie odpowiedział, to nie wiem, czy z tego faktu ktoś inny wyniosłby jakąś wiedzę o pracy speców od przemysłu płytowego.

Płyt (prawdopodobnie przez te ciężkie czasy) jest obecnie jakby mniej, ale — wzorem przemysłu księgarskiego — na starych, dawno tłoczonych krążkach, wali on zupełnie nowe ceny, mimo iż płyty produkowane były przed rokiem i honoraria za nie wypłacono w tamtych złotychkach. Co się będzie działo z tą nadwyżką? O ile się orientuję, pójdzie na pokrycie deficytu powstałego w związku z wydaniem kolejnej dyktorskiej płyty pt. „Przeboje A. J.”.

JAN JANUSZEK

Szanowny Panie Stanisławie. Tym razem piszę nie z jednej a z kilku rzek. Zaznaczam to wyraźnie na użytek tych, którzy lubując się w metaforyczności, wciąż jeszcze zamiast wiedzieć — domyślają się i wolą znacząco mrugać oczkami, niż odpowiedzieć na jakiegokolwiek najprostsze pytania. Na razie, póki co, czas metafor się skończył, a zaczęła dosłowność, niech więc będzie wiadome, że piszę zza Narwi, Wisły a nawet Parsęty, czyli z Kołobrzegu.

Wszystkie prawie dni mają tu wspólny nadtytuł: zupa mleczna. Te dwa słowa powtarzają się przez sześć dni w tygodniu na początku codziennego jadłospisu. Jedynie dzień siódmy nie posiada tej dystynkcji, ale niedziela jest dniem wyjątkowym, wolnym także od wizyt w gabinetach biczowania, ugniatania, szprycowania i innych, podobnych tym, zabiegów.

A jednak nie wszyscy podlegają przymusowi wazy z mleczną zawartością. Wśród naszej stolikowej czwórki jeden jest uprzywilejowany. On zupy nie jada — dostaje dzbanek mleka. Różnica w treści niewielka, ale za to w formie jaka! I o to chodzi, nie o tzw. linie, bo

LISTY ZZA RZEKI

mleczna zupa

przysięgłowy stół wzbogacany jest z różnych pojemniczków przynoszonych w plastikowej torbie.

Czas pierwszych, po przyjeździe, posiłków w części poszedł na wzajemne obawianie się, kto zacznie naprzeciwko, a kto, ci po bokach. Wreszcie bąknęliśmy swoje podstawowe dane z dowodów osobistych i już spokojnie zjadamy, co tam dietetyczka zaszyfrowała w jadłospisie. Wiemy też, że pan od mleka to gość stołeczny. Jest jeszcze białostoczanin i ja, też wojewódzki, oraz mój vis a vis z zupełnej gminy. Jednym zdaniem — przekrój wzdłuż i wszerz. Byłoby więc co wymieniać w rozmowach, ale pan S. (stołeczny) próbuje wciąć nas za pyski i zarządza przesiadkę. Niby każdy sam wybierał sobie miejsce tak, jak pozwalał na to stan zasiedlenia stołika w chwili pierwszego

posiłku, lecz okazało się, że to była prowizorka. — Panowie siadajcie gdzie chcecie, ale moje miejsce jest tu — mówi z uśmiechem i wskazuje krzesło z widokiem na całą jadalnię.

No, teraz już siedzimy na dobre. Zresztą poprzednio także, bo dla nas trzech ta sprawa nie ma najmniejszego znaczenia. Nie powinna więc wzbudzać żadnych komentarzy. Tym bardziej, że wydaje się znajoma z innych okoliczności. A jednak... — Nie wiedziałem, że w jadalni też są miejsca rezerwowane — stwierdza pan G. (gminny), wpatrując się w wazę z wystygłą zupą. — Byłem tu już wczoraj — odpowiada pan S., szukając w mojej twarzy solidarności. — Z Warszawy wszyscy tacy — przerywa ciszę pan G. i całkiem niewesoło chichocze. Na wszelki wypadek przerywam wioślowanie w bladej zupie. Mój sąsiad z prawej, pan B. (Białystok) wgrzyza się w bułkę i czeka. Pan S. milczy jednak. — Co jest? — myślę i spoglądam na niego ukradkiem. On jakby nie słyszał, tylko mleczko. — Panie, ja bym zlikwidował tę Warszawę. To znaczy zbudował nową stolicę. Inaczej nie pozbedziemy się tych darmozjadów w warszawskich urzę-

dach, którzy przez siedem godzin myślą, co będą robić po tym, jak skończą się te godziny. I tyle.

— Ale trafilam — myślę i odstawiam talerz, ale słyszę jak pan S. niespokojnie mówi: — Proszę pana, ja jestem z Krakowa i zgadzam się z panem całkowicie.

— To czego pan się chwalił, że pan z Warszawy — atakuje ze złością pan G.

— Ech, dwadzieścia sześć lat, co to jest.

— I cały czas w ministerstwie? — pyta pan G.

— No, pewnie, a gdzie? — odpowiada pan S. i prosi przechodzącą obok kelnerkę o dodatkową bułkę, której nie dostaje. — Patrzcie, panowie, nawet bułki wydzielają. — Skarży się nie wiadomo komu. — No, chociaż raz czegoś nie dostał gość ze stolicy — triumfuje pan G.

— Proszę bardzo — mówi kelnerka — znalazłam — i podaje panu S. ślicznie wypieczoną świeżą bułeczkę. Po śniadaniu poszedł na spacer. Kołobrzeg to miasto, któremu warto się przyjrzeć i zrobić to na pewno, ale na razie wciąż mi w głowie ta piekielna mleczna zupa.

HENRYK GALA

ZYCIE TOWARZYSKIE

po co się wtrąca?

Opowiadał mi jeden z byłych korespondentów prasy warszawskiej w Paryżu, że do wszystkich rozmówców nad Sekwaną walił prosto z mostu: monsieur president. I nie zdarzyło się, by strzelił gwałt, wszyscy bowiem Francuzi byli, są lub będą prezydentami. Jeśli nie kraju, bo wybory, niestety, są raz na siedem lat, to przynajmniej jakiegoś konsorcjum czy towarzystwa, których we Francji zatrzęsienie. Co prawda mój znajomy korespondent raczej wystrzegał się pijania szampana z robotnikami rolnymi w Szampanii czy herbaty z doke-rami, pracującymi przy jej przeladunku w portach („Reportaż o Dobrym Robocie, jak już muszę, to wyłącznie z polskiej odkrywką” — tłumaczył czasem swą pre-dylekcję do rautów w ambasadzie i spotkań towarzyskich w ścisłym gronie).

Na herbatkach krajowych, choć by-ralcy równie wyselekcjonowani, bywa trudniej. No bo jak tu zagadać do jegomościa, którego władzy, zarząd i zasług nie jesteśmy dostatecznie świadomi? Od czasu Wielkiej Dyskusji przeciwko piastowaniu kilku godności naraz, przypadki takie zdarzają się jakby rzadziej. Powiesz słodko w kulturalnych „Panie Prezesie” do Przewodniczącego, to od-burknie byle co albo, Boże broń, po-patrzy przeciągle, nie przerywając spożywania twarożku ze szczypior-kiem. Jeśli sam nie jesteś sekretar-zem, powiedzmy, Kluczowej Kom-isi lub co najmniej Koresponden-tem, nie puszczaj pary z ust, dopó-ki się na stronie nie upewnisz, z kim masz przyjemność.

Tak się składa, że nie prowadzę dyskusji o przyszłości związków zawo-owych ani o stołecznym modelu komu-nikacji. Co jednak przyłączyć się, choćby na krótko, do jakiegoś towarzystwa czy grupy nacisku — spotykam niemal wy-lężnie ludzi, którzy nie reprezentują

bynajmniej siebie, tylko od dziesiątków lat — z równą pasją i oddaniem — Głos Ludu. Czy to będzie lobby mieszkani-owe, „zieloni”, konsumenci, a ostatni ro-dzice, którzy ni stąd, ni zowąd dostali drgawek przed letnim wypoczynkiem la-torośli — jeszcze nie spotkałem Człowie-ka, który chciałby, tak po prostu, załat-wić coś sobie samemu.

Słowo daję, jesteśmy krajem al-truistów! Mieszkania dla dziesiąt-ki tysięcy tych, co je z dawien daw-na mają; na kolonie letnie kierują panienki jak najbardziej bezdziet-ne, o kredyty dla młodych małżeństw walczą działacze, którzy nie mieli odwagi się ożenić (inaczej siedzieli-by cicho w domu, nie w przedpoko-jach ministerstw).

Także samo w dyskusjach, jak uspra-wnić zakupy osobom starszym i niepeł-nym. Najbardziej Potrzebujących wy-różają — korzystając z „okienka” mł-odzy naradą w sprawie samorządów a od-prawą u komisarzy — Przewodniczący (komitetów blokowych), Prezesi (towa-rzystw opieki), naczelnicy (wydziałów) etc. I całkiem słusznie — oni zęby na tym zjedli, co się będzie jakiś w ulicy wtrącał. Wąra temu, kto przyziemnym interesom

własnym albo sąsiadki, chwilowo opusz-czanej w potrzebie, chciałby zakłócić zgodne wysiłki działaczy. Nieodpowie-dzialnym głosem czy — nie ukrywajmy tego — zwykłą demagogią mógłby zhu-rzyć cały nasz dorobek. Dlatego my, Pre-zesi, Przewodniczący, Kierownicy i Na-czelnicy, którzy znamy życie, wprowa-dzać będziemy nadal, z nie mniejszym niż poprzednio trudem i ofiarnością — Reformę Gospodarczą, Weryfikację Kad-r i Wszystko Co Potrzeba.

Jeden z bohaterów Charlesa Nodiera, usłyszawszy, że lud się burzy, wykrzyk-nął z irytacją: — Po jakiego diabła lud się do tego wtrąca!

Co prawda było to w czasach, kie-dy do Francuzów nie zwracano się jeszcze per: monsieur president, ale Nodier widział w swoim życiu nie-mniej kryzysów i rewolucji, niż o-bywatel PRL pod czterdziestkę. I co? Ano z zaprzysięgłego republikanina, więzionego przez Pierwszego Konsu-la, krótko wprawdzie, stał się z bie-giem lat rojalistą. Dla osłody można dodać, że jego salon uchodził za jed-zen z najwspanialszych w całym Pa-ryżu.

JAN KWASOWSKI





Niniejszej publikacji patronuje łomżyńska Komisja Opieki nad Zabytkami, która chce przez nią starszym łomżanom przypomnieć znane im fakty, a młodsze pokolenie i młodzież zainteresować tragicznymi losami miasta i społeczności żydowskiej, zamieszkałej niegdyś w Łomży. Pragnie też zwrócić naszą uwagę na obecnie bardzo aktualny, ale jednocześnie i trudny problem ratowania — a rozpoczynający od nakazu nieniszczenia — starych łomżyńskich cmentarzy, w tym także dwóch żydowskich; ponadto przypomnieć, iż w bieżącym roku przypada 40 rocznica likwidacji łomżyńskiego Getta oraz mija 35 lat od znamiennej relacji Jakuba Tobiasza i 30 lat od wydania całej „Księgi” o historii żydowskiej gminy łomżyńskiej — fragment, ten jest drukowany po raz pierwszy w przekładzie z hebrajskiego na język polski.

Nim wyjechałem z Polski, postanowiłem odwiedzić Łomżę. Czy można do tego dopuścić, ażeby opuszczając na zawsze Polskę nie być w Łomży? Droga była niebezpieczna. Bandyci i wrogowie Żydów jeszcze czyhają na drogach. Krewni przekonali mnie: — Nie jedź do Łomży, nie narażaj swojego życia: — Kiedy twardo postanowiłem jechać, towarzyszył mi mój były uczeń, partyzant, Mojżesz Stupnik z Zambrowa. Zaopatrzył się w kilka ręcznych granatów i wsiedliśmy do otwartego samochodu, gotowi do drogi. I jeszcze raz zapytał mnie mój uczeń: — A może nie jechać? Bo właśnie wczoraj były wypadki na drodze do Łomży — Odpowiedziałem stanowczo: — Jedziemy!

Samochód ruszył. — Tutaj — szepnął mi mój towarzysz w połowie drogi — jest miejsce, skąd napadają i rabują, ze swoich kryjówek w lasach. Przejechaliśmy jednak to miejsce spokojnie i zbliżyliśmy się do Czerwonego Boru. Już niedaleko Łomża. Jeszcze trochę drogi trzeba przejechać i będzie cmentarz łomżyński. Tysiące oczu spogląda stąd na ciebie. Oczu ci znanych, należących do osób, które odprowadzałeś niegdyś na miejsce ostatniego spoczynku.

Dotarliśmy do Łomży. Ktoś powiedział kierowcy, żeby stanął na ulicy Dwornej, obok budynku Gimnazjum Dr. Goldlusta. Stąd właśnie wyszedłem na początku naszej zagłady i tu rozstałem się z moimi uczniami. Dom pozostał. Dom, w którym kształciła się dusza młodzieży żydowskiej w Łomży i który był ośrodkiem nauki i kultury. Niedobitki rozproszonych uczniów tej szkoły można spotkać wszędzie, są rozrzućeni po całym świecie.

Wchodzę po schodach — na korytarz Schody zniszczone, stopnie połamane, piasek i błoto na nich. Niemcy próbowali zniszczyć wszystko przed odejściem stąd. Z trudem dostałem się na podwórze — zielone, porośnięte wysoką trawą od czasu, kiedy żadna noga tu nie stąpała. Przyglądam się oknom, przez które wyglądałem wielokrotnie. Dzieje się na klasy lat szkolnych: 39/40, 40/41. Oto klasy VI i VII. Staje mi przed oczami sylwetka Absaloma Esterzona, zajętego analizą literacką... Rozmyślania te przerwał niecierpliwy głos mojej córki: — Ojciec, nie mogę tu dłużej stać!

Nogi poniosły mnie na Stary Rynek. Czyżby to była Łomża? Na całym Ryнку pozostały tylko trzy domy, na wpół zburzone: Magistrat, dom Jozuego-Jakuba Rozentala i dom, w którym przez wiele lat mieszkał doktor Peltyn. Z ulicy Długiej pozostały — po lewej stronie — też tylko trzy domy, od apteki Liniewiczza po sklep Zalmana Hennera. Z prawej strony ostał się tylko wielki dom Książkiewicza — to wszystko...

ŁOMŻA



Na ulicy Rządowej pozostały także trzy domy. Nie ma nawet śladu po Nowym Ryńku i po ulicach: Farnej, Jatkowej i innych. Na ulicy Krótkiej pozostał dom wdowy Markiewiczowej i stary budynek Straży Pożarnej. Na ulicy Senatorskiej zachował się budynek Opieki nad Sierotami i najbliższy mu dom Natana Pianki. Nie ma starej bóżnicy i „Talmud Tory”. „Gospody Dla Gości”, jeszywy i błogosławionej pamięci pozostał dom tynkarsza, Golabka. Nie ma śladu po ulicy Żydowskiej ani po Woźniowskiej, Żelaznej, Zambrowskiej. Zachował się

częściowo Rynek Zambrowski i część aryjskiej ulicy Dwornej. Budynki banków stoją, ale ze wszystkich gminnych domów zostały tylko dwa: Dom Sierot na ul. Senatorskiej i Dom Starców.

Ciągnęło mnie do lasów Giełczyńska, do miejsca, w którym zamęczono na śmierć 3 500 moich braci i sióstr. Zginęli tam setki chłopców i dziewcząt. Nie łatwo mi to przyszło. Dotychczas żaden żywy Żyd nie był tam, od kiedy życie zamieniło się w piekło. Także po ucieczce hitlerowców miejsce to było niebezpieczne ze względu na bandy rabusiów tam krążących. Nawet Polacy, chrześcijanie, obawiali się tam pokazywać. Ale przecież jak mogłem wyjechać z Łomży bez zobaczenia tego straszego i świętego zarazem miejsca?

Zwróciłem się do milicji łomżyńskiej, która dała mi samochód i kilku żołnierzy do ochrony. Towarzyszył mi też zastępca przewodniczącego Rady Narodowej miasta, pan Parszuto. Bardzo miły człowiek. Tłumaczył się przede mną, że z braku czasu i nawału zajęć nie zdążył odwiedzić wcześniej tego miejsca z ramienia Magistratu. Zaledwie ruszyliśmy, samochód stanął — z braku benzyny. Kupiliśmy jej za 1000 złotych i ruszyliśmy. Droga była błotnista, trwała tylko 20 minut.

Zaraz po przyjeździe szukamy miejsca straceń. Nie możemy znaleźć. Pomógł nam w tym sołtys Giełczyńska. Wreszcie znaleźliśmy: wielki krzyż brzoźowy i cztery szerokie doły obok niego. Tu świeciło

śmierć, z płaczem dzieci i szlochem kobiet oraz z jękami wydobywającymi się spod ziemi, osób pogrzebanych jeszcze za życia. Wielkie jamy są na wpół odkryte, zarosnięte trawą. Trudno na nie patrzeć... A nuż spotkam wzrok tysięcy oczu świętych i czystych ofiar — niewinnych, pytających: dlaczego? Dlaczego nam to uczyniono?

Na trzy tygodnie przed ucieczką Niemcy odkopali cztery bratnie groby. Wybrali stamtąd znajdujące się szkielety i spalili je, aby zatrzeć ślady swych zbrodni. Pozostałe prochy rozsypali po całej okolicy. Ziemia nasyciona jest jeszcze nimi. Nabrałem w gazetę ziemi zmieszanej z prochami zmarłych. W mojej ręce znalazła się kość ramienia dziecka: sucha i wygrzana słońcem, porośnięta z drugiej strony trawą, która czerpała pokarm z pozostałości szpiku kostnego.

Wargi drżą, a pięści zwierają się. Czy nadejdzie czas zemsty i zapłaty za te czyny? Przed moimi oczami wyrastają kościste i chude ramiona, ręce Judela Kamińskiego, szewca, człowieka z ludu, miłego i prostego. Przeszywa mnie swoim wzrokiem i pyta na wpół ochrypłym głosem: „Pierwszy przychodziłeś do nas, panie Tobiaszu, zawsze przemawiałeś, a dziś — milczysz?”

Nagle czuję, że coś mnie ściska za garło, duszę się, przeraźliwy szloch wyrwa się z moich ust, a z oczu płyną rzęsiste łzy. Staram się odmawiać modlitwę za zmarłych obok krzyża, stojącego niedaleko nad otwartymi grobami, z których patrzą na mnie tysiące oczu. Cóż powiem? Tylko modlitwę: „Boże pełen miłosierdzia” za pamięć ich dusz...

Wróciłem do miasta i stoję przed Domem Sierot. Całuję drzwi, które są mi bardzo drogie i bliskie. Wszedłem do korytarza, otwieram drzwi jadalni. Jeszcze trochę i... wydaje się, że spotkam moje ukochane dzieci, którymi opiekowałem się, ażeby wyrosły na dobrych ludzi. Otóż i Miriam, Rajzele, Jankele! Tutaj obchodziliśmy jubileusz setnego numeru gazetki dziecięcej pod nazwą „Nasz Kacik”. Ale, niestety, jadalnię zamieniono na miejsce wyrobu wieprzowych kielbas. Widać wiszące świńskie pęcherze na ścianach. W bóżnicy opiekunem sierot był Szmulke Błaszką; obecnie wisi tu obraz Najświętszej Marii Panny. Polska rodzina wykupiła tę dawną naszą siedzibę dla siebie. Dawne sypialnie zamieniono na mieszkania, które są znowu zasiedlone.

Trudno mi dłużej tutaj pozostać. Wychodząc, odłupałem na pamiątkę w korytarzu kawałek wschodniej ściany, z miejsca, gdzie stała ARKA.

Wśród gruzów naszego Szpitala znalazłem resztki linoleum, po którym chodzili chorzy, pacjenci tego domu... Z pięknego budynku szkoły „Talmud Tora”, gdzie uczono i wychowywano młodzież najuboższą, pozostały tylko gruzy.

Płaczę moje serce nad tym, że nie spotkasz ani jednego Żyda w całej Łomży. Tylko na cmentarzu znajdziesz ich, tam poczujesz, że jesteś w Łomży. Cmentarz pozostał nienaruszony. Wprawdzie kilka nagrobków przewróciło się i połamało, a mauzolea rabiego Lajzera-Symchy, Malkiela i Izraela Jafe zniknęły, ale groby pozostały całe. W ostatnim czasie powiedziano mi: — Chłopi z pobliskich wiosek zaczęli wywozić stamtąd kamienie, to znaczy nagrobki z piaskowca do budowy i... na osetki. Nagrobków ze zwykłego kamienia nie ruszają.

Kilka godzin przebywałem między grobami i chodziłem między nimi, jak gdyby ulicami dzisiejszej Łomży, gdyż innej Łomży już dla nas nie ma. I nie wstanie więcej, na wieki zniszczona, żydowska część miasta Łomży, nie powstanie.

(Paryż, 1947 roku)
Jakub Tobiasz

„Nad grobem Łomży w roku 1947” — relacja Jakuba Tobiasza z „Księgi pamięci gminy żydowskiej” wydanej w Izraelu w 1952 r. Tłumaczył z hebrajskiego Adam Bielecki. do druku podał Wiktor Grochowski.

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Gdy moje oczy zaczęły patrzeć za pięknymi dziewczynami uświadomiłem sobie że przyszedł ten czas w którym staje się chłopak prawdziwym młodzieńcem. I przyszła ta miłość o której prosiłem los bo czułem jak piękne są dni maja gdy razem z dziewczyną będę się kochał pośród pachnącego gaja.

MIEDZY CHŁOPAKAMI

Każdy chłopak wie jak się każda dziewczyna zwię. Ta Anielka zgubiła pantofelka aby mógł natrafić na jej ślad Adaś. Antek podkochuje się w Baśce może ma go w swojej tasce, a tam Romek chciał Jadźce zwałić domek, grał cały wieczór na mandolinie a ona myślała że to dzikie świni.

SPOŹNIONY ROMANS

Poznałem dziewczynę, piękną jak królową z bajki. Oczy jak dwa rubiny, ręce jak obłoki bielutkie. Chciałem się w niej kochać jak szalony ale jej oczy patrzyły na innego chłopaka. Odszedłem ze spuszczoną głową byłem zły sam na siebie czy mogłem się spóźnić o sekundę, czy los nie chciał dwóch

Rok 1982 w branży dywanowej od samego początku zapowiadał się niewesoło. Najpierw Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego głowiło się nad tym, jak przyciągnąć do Łomży ten deficytowy towar, a potem zaczęła się polka z jego dystrybucją.

Młodzież, która chce mieć wszystko, a dawać jak najmniej, zaatakowała pierwszą, ponieważ zanim wybudowała sobie domy w konwencji patronackiej, sklepy opustoszały do imentu. Wywalczyła możliwość wykorzystania kredytów dla młodych małżeństw. Pozostałe kobierce prezydent zamierzał rozdzielić między poszczególne zakłady pracy. Sprawnie wyliczył nawet proporcje, eliminując pracowników spoza Łomży, którzy powinni próbować szans w swoich gminach. Niektórym zakładom wprowadzić nic nie kapnęło, ale przecież miał to być przydział pierwszy, a nie ostatni.

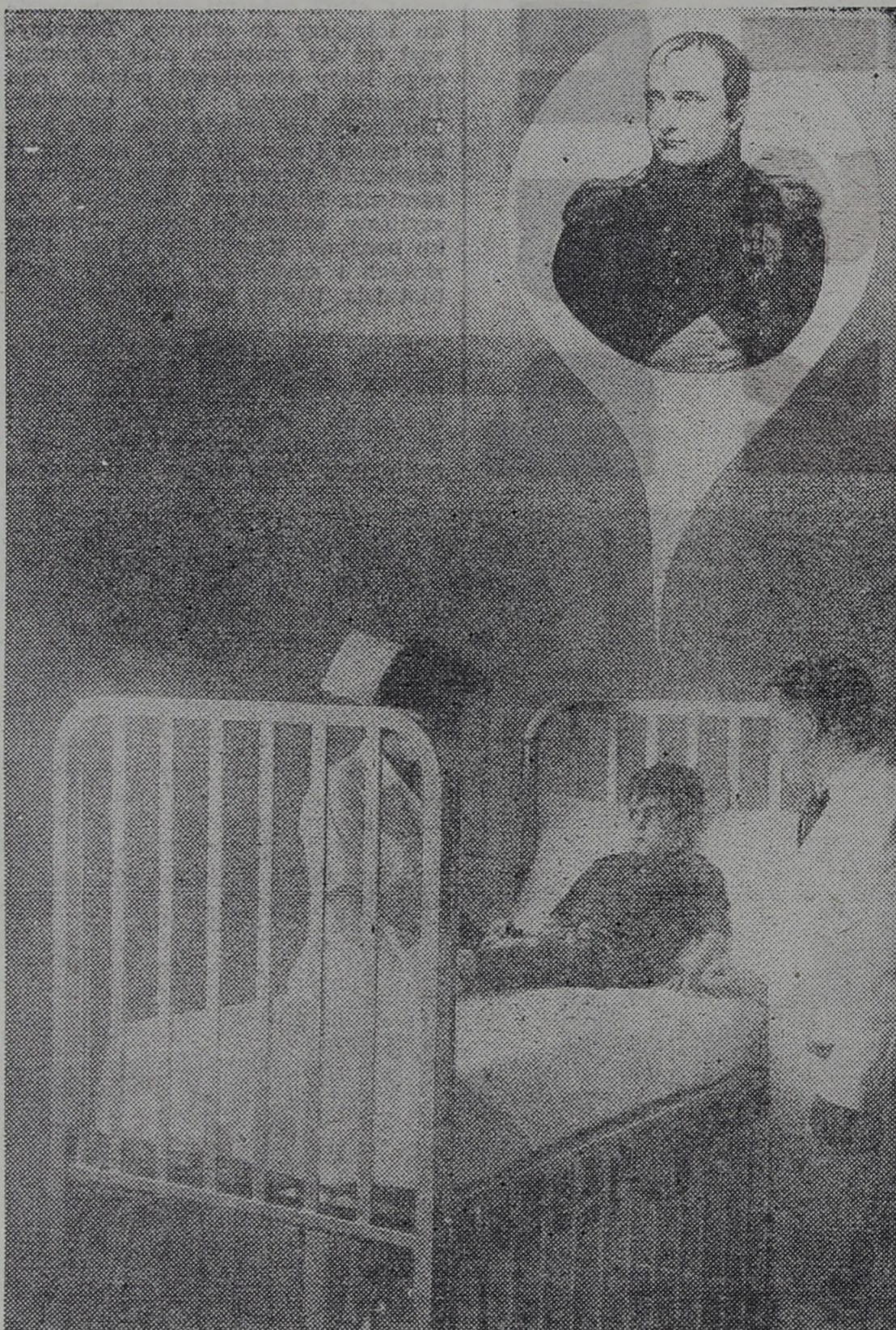
Wiesie poszła w miasto. Natychmiast zawrzało. Poprzednio sprzedawano dywany na listę. Chociaż różnie z nią bywało, to jednak pokazała część klientów kupowała rzeczywiście według jakiejś tam kolejności. W stanie wojennym wśród zawieszonych rzeczy znalazły się też listy i całonocne kolejki. Odżyły natomiast nadzieje spekulantów na dobre interesy z chwilą powrotu do praktyki wolnej sprzedaży. Prawdopodobnie niektórzy nieroztropnie „zaliczkowali” już przyszłe zakupy.

Wszyscy ci, których nadzieje na szybkie kupno dywanu rozwiąły się z różnych powodów, podnieśli głos. Ich pomruki niezadowolonych dotarły do władz wojewódzkich. Wstrzymały one decyzję prezydenta Newelskiego. Mimo to w uszczęśliwionych przydziałami zakładach akcja rozpoznawania potrzeb dywanowych rozwijała się znakomicie: powstały społeczne komisje ds. badania stopnia nasylenia mieszkań puszystym luksusem. Ponieważ komisje stwierdzały częste przypadki złośliwego utrudniania pracy przez ukrywanie dywanów w piwnicach lub u sąsiadów, niektóre zakłady wprowadziły prostszą — a równie skuteczną — metodę: losowania.

Tymczasem w Urzędzie Wojewódzkim gromadziły się ciężkie kontrargumenty: — Sprzedawanie dywanów przez zakłady pracy nie tylko nie rozwiąże problemu, ale zrodzi konflikty wśród załóg. Nie możemy pozwolić sobie na przenoszenie zdemerowania ze sklepów do zakładów. Zezwoliliśmy wprowadzić na rozprowadzanie deficytowych drobnych rzeczy, skarpetek, rajstop, żyłek, ale dywan to nie pasta do zębów, lecz poważna domowa inwestycja. Ponadto jeśli zgodzimy się na dywany, wówczas zażądają mebli, pralek, telewizorów czy kozuchów. Namiętności wzrosną, a produkcja spadnie, bo zamiast myśleć o robocie, ludzie zaczną się głowić, na co

Dwa tygodnie temu zainaugurowaliśmy tę rubrykę. Przypominamy: zamierzamy w niej zamieszczać te wszystkie teksty, które nie były przewidziane przez autorów do druku, natomiast zawierały treści skierowane do urzędów, instytucji lub innych ludzi, pozostających z autorami w związkach uczuciowych lub służbowych. „Wykwit — według Witolda Doroszewskiego, to m.in. — najwyższy przejaw, najwyższe osiągnięcie twórczości artystycznej”. Czyż nie da się nazwać najwyższym osiągnięciem „artystycznym” udanej próby zdobycia wyznan absurdu? Nie możemy zatem przystać na zaginięcie w przepastnych szufladach i grubych skoroszytach i tego dowodu wysiłku umysłowego obywateli. Was również zachęcamy, Drodzy Czytelnicy, do nadsyłania redakcji różnych wytworów niezgłębionej wyobraźni ludzkiej, która znajduje wyraz w oryginalnych zapisach adresowanych do siebie lub innych. Kto wie, może razem uda nam się wylansować jakiś czytelniczy bestseller?

wykwity



wojna dywanowa

i kiedy mają szansę, a także plotkować, kto, co, kiedy dostał i dlaczego. Wicewojewoda Zdzisław Truskowski formułował jeszcze wątpliwości dotyczące technicznych rozwiązań: — Kto będzie rozwoził towar po zakładach? Bezsensowne jest wysyłanie służbowego samochodu po jeden—dwa prywatne dywany. Nawet w tak specyficznych warunkach trudno zmuszać ludzi do kupowania kota w worku, a kobierca bez oglądania. Czy w ten sposób nie wyeliminujemy z zakupów pracowników malutkich zakładów i firm prywatnych?

Prezydent Jerzy Newelski wydawał się przygaszony, a może nawet przybity. W informowaniu okazał się nader skąpy: — Wojewoda ma prawo podejmować decyzje dotyczące mieszkańców województwa. W tej sprawie na razie nie ostatecznie nie rozstrzygnął, konsultuje z resortem handlu. Ja uważałem, że na dywany jest tak szalony popyt, iż nie można ich dać do wolnej sprzedaży. Dywan można położyć, powiesić, ułokować w nim kapitał lub odsprzedać z zyskiem. Szukałem złotego środka, umożliwiającego nabycie dywanów tym, którzy układaliby je na podłodze. Myślałem, że stosunkowo najsprawiedliwiej podzielić się nimi załogi. Chciałem też jakoś pomóc młodym małżeństwom, którym startu życiowego w obecnym kryzysie nie można zazdrościć. Wydawało mi

się, że prezydenta stać będzie na dotrzymanie takiej obietnicy. Zdaję sobie sprawę, że moja propozycja ma dobre i złe strony, ale...

Sama musiałam szukać zakończenia tej myśli. W poszukiwaniu uporczywie towarzyszyła mi mruczanka:

Wojna domowa
od tygodni trwa,
wojna o gesty,
wojna o słowa...

O ile łatwiej jest być panem na włościach w Turośli czy Piankach Bogutach, gdzie dostojna noga z rzadka postanie, a decyzje gminne nie dotyczą bezpośredniego wojewódzkich urzędników i ich rodzin. Nawet w niedalekim i niemalym przecieć Wysokiem Mazowieckiem naczelnik mógł rozwijać swoje dywanowe pomysły nie tylko bez przeszkód, ale i bez pytania wojewody o zdanie. Poinformował po prostu Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego, że z dniem takim a takim postanowił przydzielić służbowe kobierce za osiem kwintali sprzedanego na punkcie skupu zboża, a zwykle — za cztery. Nie raczył nawet zainteresować się, czy WPHW będzie w stanie nastarczyć z towarem.

Co jednak wolno w terenie, to nie pod nosem wojewody. Prezydent Newelski nie chce uchodzić za bezradniaka, to zrozumiałe. Tymczasem gdy tylko zmarszczy czoło, już go „góra” obserwuje: czy strzeli dob-

zakochanych ludzi czy nie chciał?

NIESZCZĘŚLIWA MIŁOŚĆ

Była długo między nami jak róża z ostrym kolcami Chwycić do ręki się jej nie da, uziębnie innemu się zaprzeda. Ta miłość bez miejsca pobytu ucieka do innego czyniąc drugiemu ból na sercu Łzy kąpią chłopcu na ziemię dziewczyna go opuściła na zawsze. Czy to wina miłości czy jej dziewczyny.

—◇—

A wszystko zaczęło się tak: wrocałem jak co dzień z kursu j. angielskiego gdy nagle dostrzegłem przejściu dla pieszych dziewczynę, nie by w tym nie było dziwnego gdyby nie jej czar, który rzucił się na mnie. Po przejściu do domu poczułem się jakby lżejszy chciałem śpiewać niewiedziałem co mam z sobą zrobić. Zorientowałem się o mi chodzi a wtedy gdy przypomniała mi się ta dziewczyna. A więc się zakochałem pierwszy raz, pierwszy to nie ale takiego uczucia jakie teraz miałem jeszcze nigdzie przedtem nie czułem. Oszolomiony mój umysł w głębi duszy postanowił zdobyć tę dziewczynę za wszelką cenę. Nie wiedziałem jak się tym uporać, myśli tych nie mogłem rzucić, byłem zbyt blisko celu. [...] Miłość jest taka zdradliwa i tak niebezpieczna, naraziłem się na taki kryzys sercowy. W jednej chwili przysnęła miłość i szczęście, co teraz zostało życie w ciszy i poezji.

rym, czy marnym pomysłem. Nie przeczę, że poczynania prezydenta należy bacznie obserwować, kontrolować, krytykować. Sama to robię innym nie bronie, ale trzeba mu też pozwolić na myślenie i działanie, oceniać końcowe efekty. „Jak masz urząd, to urzęduj” — mówił jeden bohaterów Gogolowego „Rewizora” i już wtedy stwierdzenie brzmiało równie odkrywczo, jak dziś, gdy wielu ma władzę, lecz rządzi niewiele.

Po kilku tygodniach zimnej wojny dywanowej na naradzie u wice wojewody Zdzisława Truskowskiego podpisano pakt o nieagresji, czyli przyjęto propozycję prezydenta Newelskiego, zmodyfikowaną przez dyrektora WPHW, Stefana Sutynię, który przekonywał: — Ja nie chcę wkraczać w kompetencje władz administracyjnych, ale nie chciałbym żeby bez naszej wiedzy coś dzieło, przyrzekano, rozdawano talony, uprawnienia. Wprowadzić udało się nam zdobyć poza rozdzielnikami bardzo dużo dywanów, ale nie pokryło to wszystkich potrzeb. Dlatego będę informował ojców miast i gmin o ilościach przydzielonych im dywanów w danym kwartale, a oni przysyłać mi listy pracowników i zakładów pracy do uwzględnienia przy kolejnych rozdzielach. Z kolei my będziemy przysyłać, na przykład, do prezydenta listy kwartalne przydziałów na jednostki gospodarcze. Wtedy dopiero instytucje i przedsiębiorstwa wypracują wykazy imienne, a pracownicy otrzymają specjalne talony, z którymi udadzą się do sklepów.

Po zaakceptowaniu tego rozwiązania dyrektor Sutyniec całość kwestii skomentował następująco: — Tak więc po tej burzy dopracowaliśmy się jakiegoś ogólnowojejewódzkiego rozwiązania. Może zbyt szczegółowo weszliśmy w tę sprawę i na zbyt wysokim szczeblu ją rozstrząsamy, ale tak bywa, gdy brakuje towaru, a chce się rozdzielić go w miarę sprawiedliwie.

Ponieważ dyrektorzy WPHW w innych województwach windują bardzo mocno ceny i te same dywany na Śląsku kosztują co najmniej trzykrotnie drożej, dziwię się, dlaczego w Łomżyńskim nie reguluje się w ten łatwy sposób popytu. Odpowiedź handlowca była zaskakująca: — Ja wiem, że mogłbym podnieść ceny co najmniej podwójnie, ale u nas przeciętna płaca jest dużo niższa niż, na przykład, w Katowicach. Dywan przy braku parkietów czy wyciszającej wykładziny, nie jest w naszym blokach zbytkiem, lecz prawie koniecznością, a handel ma nie tylko zarabiać pieniądze, lecz bronić również interesów konsumenta.

Dobrze byłoby nie tylko takie stwierdzenia wysłuchiwać, ale i doświadczać dobrodziejstw ich odzwierciedlenia w praktyce.

DANUTA WRONISZEWSKA
Fot. JÓZEF LIEBERSBACH



był sobie człowiek

„Ziele to oczyszcza podniebienie i głowę, usuwa zmęczenie, bóle głowy, bóle zębów i bóle porodowe, zapobiega dżumie, przepędza wszy, leczy zakażenia, stare wrzody i rany”. Trudno byłoby się domyśleć, że tym panaceum na wszelkie dolegliwości stały się swego czasu liście tytoniu.

Pierwsze nasiona tytoniu (Persowie nazywali tę roślinę „tittin”, Tatarzy — „tütün”) wykiełkowały w ogrodach hiszpańskich możnowładców, sprowadzone z Meksyku jako egzotyczne kwiaty. Wkrótce odkryto w jego liściach właściwości lecznicze. Leczenie proszkiem tytoniowym różnych schorzeń rozpropagował w XVI w. ambasador francuski przy portugalskim dworze — Jan Nicot. Jego właśnie nazwisko dało nazwę nikotynie.

Katarzyna Medycejska, królowa Francji, leczyła nimi uporczywe bóle głowy. Wierni poddani, choć im żaden ból nie doskwierał, zaczęli naśladować dostojną matronę. Napychanie dziurerek w nosie proszkiem tytoniowym rozpleniło się bardzo szybko po całej Europie. Tytoń jako lek robił w każdym kraju wielką karierę, prawie taką, jak w naszych czasach penicylina. Krople i sole trzeźwiące zastępowała tabaka i wonny dym tytoniowy.

Do Polski po raz pierwszy tytoń przybył z Konstantynopola. Zaszczepioną roślinę przysłał poseł Zygmunt III, Uchmański, z przeznaczeniem do zielnika królowej Anny, która z amatorstwa zajmowała się botaniką. Palenia tytoniu nauczyli się Polacy od Turków i Tatarów. Za czasów króla Jana III Sobieskiego uprawiano tytoń na taką skalę, że lepsze gatunki eksportowano do Francji.

Masowe zażywanie tabaki spotkało się wkrótce ze zdecydowanym sprzeciwem monarchów. Sultán Murad IV zabronił palenia tytoniu pod groźbą kary śmierci, a lokale, w których odbywał się ten proceder, puszczal z dymem. Król angielski Jakub I nakładał na palących tytoń wysokie kary pieniężne. Papież Urban VIII pód groźbą klątwy kościelnej zabronił katolikom palenia. Tytoniowych nałogowców carowie rosyjscy deportowali na Sybir. Ale już tej plagi zatrzymać się nie dało.

kawka przeciwniczka papierosów

Najlepszym lekarstwem na rzucenie palenia — mógłby powiedzieć pewien mieszkaniec białoruskiej wsi — jest... kawka. Hodowany w jego domu ptak nie znoślił papierosowego dymu. Kawka szybko się zorientowała, że przyczyną owej nieznosnej sytuacji są papierosy. I od tej chwili, gdzie by gospodarz nie schował przed nią paczki, zawsze ją znalazła i po jednym papierosie wyrzucała na ulicę. Robiła to tak długo i tak cierpliwie, że koniec końców, gospodarz zrezygnował z palenia.

TANIE DANIE

faszerowana cebulka

Kryzysowe ilości mięsa najgospodarniej wykorzystamy jako różne nadzienia warzywne. Poza nieśmiertelnymi gołąbkami, spróbujmy faszerowanej cebuli.

6 dużych cebul obgotować 10 minut we wrzącej osolonej wodzie. Wyjąć łyżką cedzakową i ostudzić. Ściąć wierzch i wydrążyć, pozostawiając grube ścianki. Wydrążoną część posiekać i zrumienić na oleju, dodać 20 dkg mielonej wieprzowiny i smażyć kilka minut. Po zdjęciu z ognia dodać namoczonej w mleku 5 dkg czerstwej bułki, dobrze odciśniętej, jajo i roztertę 2 ząbki czosnku, przyprawić solą i pieprzem. Nałożyć farsz do wydrążonych cebul, na wierzchu położyć grudkę masła lub margaryny i ułożyć na blasze lub w żaroodpornym naczyniu i piec 25 minut w piekarniku.

papierowa roślina

Papirus, albo też ciborę papierową, Egipcjanie nazywali darem rzeki. Najbardziej znana jest jej doniosła rola w rozwoju starożytnej cywilizacji. Prawie pięć tysięcy lat temu — tyle bowiem lat liczy sobie najstarszy zwój papirusu znaleziony w egipskim grobowcu — sporządzali z tej rośliny starożytny papier. Wyłuskany z łodygi rdzeń krojono na cienkie paski, układano na gładkiej desce, po czym tak samo — warstwę w kierunku poprzecznym. Następnie poddawano je prasowaniu. Wydzielający się wówczas sok sklejał rozplaszczone paski, tworząc jednolite pasmo szerokości metra. Łącznie je w taśmy o długości 40 m. Powstawały w ten sposób zwoje żółtego materiału, przypominające papier. Z włókien papirusowych Egipcjanie robili tkaniny, które cenili bardziej niż lniane. Cienkie łodygi papirusu stanowiły także doskonały surowiec do wyrobu mat, koszy, sandałów. Papirus porasta brzegi Nilu i Nigru, a także brzegi jezior Czad i Wiktorii. Tworzy on trzymetrową ścianę zieleni, która ciągnie się niekiedy wiele kilometrów. Łodygi papirusa są bardzo lekkie i nie toną w wodzie. Właściwość tę wykorzystywano do budowy niewielkich dwuosobowych łodzi rybackich. Korzenie papirusu są jadalne. Smakiem przypominają migdały. Egipcjanie spożywali je na surowo lub prażone. To także przysmak hipopotamów. Jeśli roślina znikała na jakimś odcinku rzeki, to przenosiły się one tam, gdzie rosta.

umrzeć w zapachu róży

Róża — królowa kwiatów, królowa pachnideł. Grecy zdobili nią świątynie i posągi bogów. Rzymianie dekorowali stoły. Na biesiadników podczas słynnych uczt w pałacu Nerona sypał się deszcz wonnych płatków róży. Ale zapach jej też zabijał. Jeden z rzymskich cesarzy zaprosił na ucztę pojeźdźcę swoich wrogów — zamknął ich w sali, którą wcześniej zasypał płatkami róż.

Róża w pierwszych wiekach chrześcijaństwa została uznana jako symbol doczesnych rozkoszy i kwitła w cieniu. Dopiero po kilku wiekach powróciła w aureoli czystości i miłości chrześcijańskiej. W V wieku we Francji, 8 czerwca, dekorowano nią najcenniejszą pannę. Róża króluje niepodzielnie jako najbardziej ulubione pachnidło. Otrzymywanie olejku różanego znane było już starożytnym. Ponoć małżonka jednego z indyjskich władców spostrzegła, że powierzchnię wody, w której pływały płatki róż, pokrywa cieniutka warstewka aromatycznego, wonnego olejku. I od tego momentu zaczęła się rozwijać sztuka destylacji świeżych płatków róży. Jest to chyba najdroższa substancja zapachowa: by otrzymać jeden kilogram różanego olejku trzeba zużyć osiem tysięcy kilogramów płatków.

Czytelnicy nas nie zawiodą. W odpowiedzi na nasz apel, nadsyłają pomysły i przepisy kulinarne. Czytelniczka z Grajewa proponuje taką oto receptę na kisielową babkę.

Pół kostki margaryny dokładnie utrzeć z dwoma żółtkami, z niepełną szklanką cukru i dwiema łyżkami oleju. Następnie, ciągle ucierając, stopniowo dodawać półtorej szklanki maki, wcześniej wymieszanej ze stołową łyżką proszku do pieczenia oraz półtorej łyżeczką od herbaty — octu. Do dobrze utartego ciasta wlać wcześniej sztywno ubitą pianę z dwu białek i delikatnie wymieszać. Następnie ciasto podzielić na trzy części i jedną z nich zmieszać z pół paczki czerwonego kisielu (np. wiśniowego lub żurawinowego). Ciasto wlać do formy w ten sposób, by zabarwione kisielem znajdowało się w środku. Kisielową babkę wstawić do średnio nagrzanego piekarnika i piec około pół godziny, aż się zarumieni i będzie odstawała od brzegów foremki. Po upieczeniu można ciasto polukrować lub posypać cukrem pudrem.

jesteś niestała!



Wiosna; niebawem zakolorowują się kwiatami lasy i łąki. Kwiaty pachną, zdobią, ale i mówią. Można się nimi posługiwać (każdem oddzielnie lub w wiązkach) w dialogu wyrażającym zamiary i uczucia.

Biała akacja — miłość platoniczna. Kwiaty borówki — ktoś cię oczeruił.

Kwiaty brzoskwini — jestem twoim niewolnikiem.

Bluszcz — wierność niezłomna.

Dzwonki polne — dlaczego unikasz mego wzroku?

Firletka — kocham gorąco.

Głóg — źle postąpiłaś.

Groszek — przybędę niebawem.

Kwiat koniczyzny — bądź moja.

Mięta — jestem niewzruszenie cnotliwa.

Kwiat maku — słabo zabiegasz o mnie.

Ruta — dla ciebie będę wstrętnieśliwy.

Czerwona stokrotka — jesteś dla mnie mało atrakcyjna.

Szałwia — zemszczę się okrutnie.

Wiele spośród kwiatów niczego nie symbolizuje, za to ich kolor powie

adresatowi wszystko, co mu zechcesz przekazać.

Kwiat niebieski stałość partnera oznacza w uczuciach, liliowy — niewierność, zaś granatowy — zuchwałość. Czerwony oddaje hołd mądrości odbiorcy, biel szczęście i spokój wyraża, różowy natomiast — romantyczne rozumienie związku dwojga ludzi.

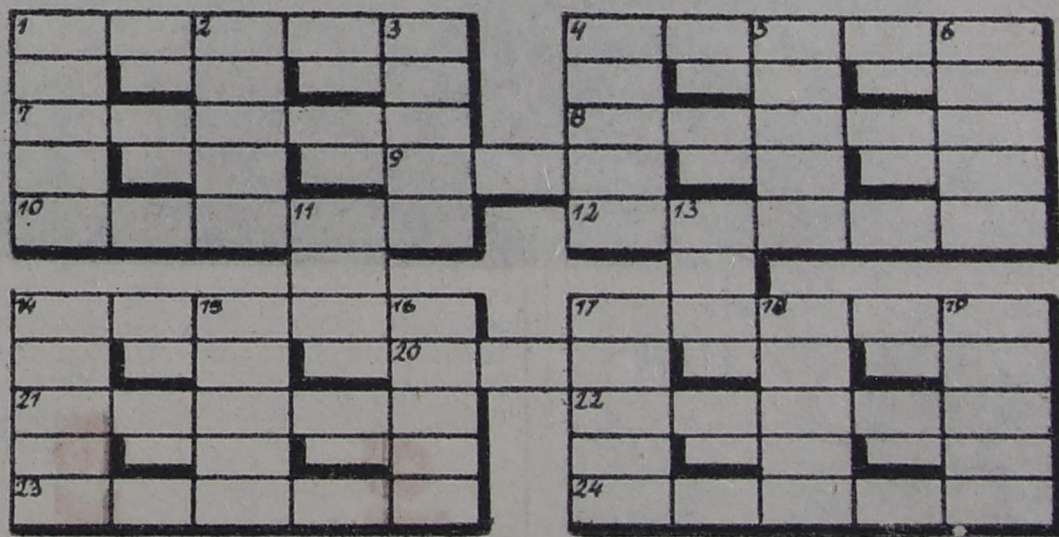
Nim zabiorą głos nasze kwiaty, przypomnijmy co mówił bukiet Ofelii w szekspirowskim „Hamlecie”:

[...] Ofelia (do Króla):
Oto koper dla was, orliki,
(do Królowej).

„Oto ruta; część jej wam daję, a część sobie zachowam, w niedzielę możemy ją nazywać zieleń łaski, ale ty swoją rutkę musisz nosić trochę inaczej niż ja. Oto stokrotki. Rada bym wam dać i fiołków, ale mi wszystkie ze śmiercią ojca powiedły. Mówią, że szczęśliwie skończył. [...]”

Według symboliki tamtych czasów koper i orliki znaczyły pochlebstwo i niewdzięczność; ruta — żal i pokutę; stokrotka — zwodniczość i niewierność; fiołki — wdzięczność.

Fot. GABOR LÖRINCZY



krzyżówka

Poziomo: 1) Statek dawniej, 4) Na Adriatykiem, 7) Ptak, 8) Klamra, 9) Parów, 10) Jedna z dwóch, 12) Generał dowodzi, 14) Drzewo, 17) Każdy szczep ma swój, 20) Na raki i na ryby, 21) Na stepie, 22) Niechulja, nogą zamiata, 23) Wyszło szydło, 24) Tadeuszowi w oko wpadła.

Pionowo: 1) Szczególne prądkie przędą, 2) Z Bydgoszczy, 3) Cuchająca maź, 4) Przed mlekiem, 5) W16-

czego może mieć pod mostem, 6) Mowa, 11) Krajowa Agencja Wydawnicza, 13) Cuarte, Negro i Grande, 14) Powód, 15) Dwie partie, 16) Poeta, 17) Dużo ich w Manchesterze, 18) Szczególny stan, 19) Kwartal, arszyn.

Rozwiązanie krzyżówki w terminie 10 dni od daty ukazania się numeru, prosimy nadsyłać na kartkach pocztowych na adres redakcji. Wśród prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy nagrody książkowe.

tekst i zdjęcia
Gabóra Lőrinczego



czatowanie na kłusownika



— Jedziemy, komendancie. mam wiadomość że są zastawione sieci na starorzeczach Narwi koło Rudy. — Szybka decyzja komendanta posterunku MO w Zbójnej, st. sierżanta Jana Wiśniewskiego i już jesteśmy w drodze. Czas nałł — około wieczora kłusownicy wybierają z sieci i warto byłoby trafić na ten moment. Do samej wody nie sposób dojechać. Ponad kilometr idziemy pieszo. Omijając rozlewiska i mokradła. Jest łódź, to ślad, że informacja była prawdziwa.

— Właścicielem jej jest Eugeniusz Szymczyk z Rudy — wyrokuje ormowiec Jan Pianka. Odrywamy ją od drzewa i spuszczamy na wodę, by odnaleźć zastawione sieci. Niestety, tym razem kłusownicy okazali się sprytniejsi: mimo kilkugodzinnych poszukiwań nie znajdujemy

sadzy. Może umieścili je na głębszej wodzie? Wracamy, ale — mimo pierwszego niepowodzenia — nie pustymi torbami. Po drodze znajdujemy inne sieci i kilka niemiłosiernie zaplątanych w ich oczkad szczupaków i płoci.

— W okresie przedświąteczny akcje takie przeprowadzamy bardzo często — mówi st. sierżant Wiśniewski. — Ponowimy je przed popołudniowymi imieninami, np. Stanisław. Nieprzerwanie też trwa akcja przeciw bimbrownikom. Bardzo trudne jest złapać ich na gorącym uczynku, choć z grubsza wiemy, kto „pedzi”.

Pożegnaliśmy komendanta, życząc mu sukcesów w poszukiwaniu kłusowniczych sieci. Wcale nie dlatego że ryby, które wspólnie zdobyliśmy w akcji, komendant skonfiskował, tylko dowód rzeczowy.



złoty za biały serek, 150 złotych za liter śmietany, 120 złotych za żywego koguta. Nowalijki: rzodkiewka — 20 złotych za pięć, szczyptor 10 zł, koper — 15 zł. Sadzonki i nasiona: kapusta 100 zł, kalafior 2 zł, fasola „Wielki Jas” — 50 gr. Inne: koszyki wiklinowe — 150—200 zł, miotły — 50 zł, kopyś drewniany — 55 zł.

WIEŚCI GMINNE

GONIAŁZ. Wiosenne porządki nie obeszły się bez ukarania kilku osób mandatami za nieład w obejściach i nie naprawione płoty. Nie uległo zahamowaniu budownictwo na wsi. Cement i materiały budowlane docierają zgodnie z przydziałami. 15 marca grupa rolników interweniowała u naczelnika w sprawie maszyn rolniczych (roztrząsarko-zgrabiarki), których sprzedaż odmówił im Składowa w Grajewie, każąc czekać do IV kwartału, choć w bieżącym roku zniesione zostały rozdziałniki kwartalne.

TRZCIANIE. Trwają wiosenne lustracje porządkowe, dokonywane przez członków Ochotniczej Straży Pożarnej i przedstawicieli Urzędu Gminy. Słabe zaopatrzenie w budowlane materiały ściennie i pokryciowe powstrzymują budownictwo. Trudny do rozwiązania problem stanowią remonty i budowa dróg lokalnych. Jedynie wspólny wysiłek władz i mieszkańców może dać pozytywne rezultaty. W ten sposób rolnicy ze wsi Zajki zbudowali 900 metrów nowej drogi.

TUROŚL. Najważniejszy problem to kontraktacja zbóż i zasiewy. Nowe ceny zaopatrzeniowe nawozów i nasion, a także usług rolniczych, dają się we znaki rolnikom gospodarującym na słabych glebach. Mniejsza zasobność gospodarstw spowodowała zastój w budownictwie. Zmniejszone przydziały materiałów budowlanych zaspokajają aż 70 proc. potrzeb.

NUR. Sytuacja diametralnie różna od obserwowanej w gminie Turkośl — dotkliwy brak materiałów budowlanych, a nie zwykła cen, jest przyczyną spadku budownictwa do połowy poziomu ubiegłorocznego.

TRUDNE ZADANIE mają komisje dzielące sprzęt rolniczy. W Piątnicy 17 ciągników rozdzielono między 150 chętnych. W Jedwabnem relacja wynosiła 20 traktorów do 200 podań. Przed zatwierdzeniem naczelnicy przyjmują reklamacje rolników.

JEST NADZIEJA, że w Jedwabnem łatwiej będzie o mieszkanie — powstanie Spółdzielnia Mieszkaniowa. Zebranie informacyjne i ukonstytuowanie się spółdzielni zapowiedziano na początek maja. Do tego czasu rejestrację członków prowadzi

spółdzielnia mieszkaniowa w Łomży. Szczegółowych informacji udziela Urząd Gminy w Jedwabnem.

W GMINIE PIĄTNICA z PFZ sprzedano rolnikom 24 ha ziemi. Trwa załatwianie formalności o sprzedaż dalszych 100 hektarów. Cena za hektar waha się od 30 do 40 tysięcy, w prywatnych — do 90 tysięcy.

SEN Z OCZU naczelnika Jedwabnego spędza brak w gminie samodzielnego przedsiębiorstwa komunalnego. Nie wszędzie wystarczy sprzętaczka z miotłą. Przydałaby się brygada budowlana do wyremontowania 23 pożydowskich budynków. Brakuje też sprzętu, którym niechętnie dzieli się niebogie Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Łomży.

WŁAŚCICIELI 220 gospodarstw w gminie Wizna trzeba było zdecydować administracyjną skłonić do uporządkowania posesji. Terminy usunięcia zanieczyszczeń wyznaczono co najmniej miesięczne. Zachętą do porządkowania obejść będzie rozpoczynająca się lada dzień kontrola zabezpieczenia przeciwpożarowego.

MNIEJ WERTEPÓW będzie na drogach gminy Jedwabne. Rolnicy z Karwowa rozdysponowali swój udział w Funduszu Rozwoju Rolnictwa i zbudowali ok. 2 kilometry drogi o nawierzchni żużlowej — z Karwowa do Stryjak. Trwa budowa żwirówek: Kucze Male — Kuszewskie i Biedry — Nadbory. Szkoda tylko, że za rok drogi trzeba będzie poprawiać — brakuje brukarzy, a nawierzchnia bitumiczna podobno za droga.

NIELATWO jest prowadzić akcję porządkowania otoczenia, jeśli obiekt nie posiada właściciela: na przykład w Rutkach nikt nie chce przyznać się do własności budynku, w którym zainstalowany był przekaznik radiowy. Mniej jest kłopotów z bezpiecznym kioskiem. Rolnik, który zainteresował się nim, postanowił przewieźć go do swego gospodarstwa — zamierza hodować w kiosku prosięta.

NA DWÓCH KONCERTACH z Łomżyńską Orkiestrą Kameralną (16 bm.) wystąpił Aureli Blaszczyk, laureat ubiegłorocznego Konkursu Skrzypcowego im. H. Wieniawskiego, wykonując „II koncert” d-moll Wieniawskiego. Publiczność owaacyjnie przyjęła młodego skrzypka, ucznia prof. St. Lewandowskiego z katowickiej Akademii Muzycznej i prof. Wolfganga Marchnera z konserwatorium we Freiburgu (RFN).

MIROSLAW MORACZKOWSKI z Łomży sprostował naszą zdarzeniową informację („Kontakty” nr 3/82). Liczba członków ZNP wynosiła przed 13 grudnia 75 proc. ogółu nauczycieli w województwie.

z marginesu

WYSOKIE KARY ZA BIMBROWNICTWO. Na 10 tysięcy zł grzywny i 6 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata został skazany Jerzy W. z Undów (gm. Kołaki), u którego znaleziono 4 litry spirytusu domowej produkcji.

20 tysięcy zł i karę pozbawienia wolności w zawieszeniu na okres 3 lat orzekł Sąd Rejonowy w Zambrowie, rozpatrując sprawę Lucjana G. z Laskowca Nowego, u którego znaleziono 3 i 1/2 litra bimbrowa oraz aparat do jego produkcji.

Grzywnę w wysokości 12 tysięcy zł i karę pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata wymierzone Janinie Z. z Łomży, która przechowywała w mieszkaniu zacier do wyrobu spirytusu.

10 tysięcy zł grzywny i 1 rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata. Taki wyrok zapadł w sprawie Wiesławy K. z Łomży, która przechowywała 2 i 1/2 l spirytusu, pochodzącego z nielegalnego wyrobu.

15 tysięcy zł grzywny i 4200 kosztów sądowych oraz karę pozbawienia wolności w zawieszeniu na 3 lata poniósł Piotr W. z Łomży. Znaleziono u niego 60 litrów zacieru i aparat do produkcji bimbrowa.

związek zawodowy jakiego oczekuję

Odpowiadają pracownicy Zakładu Usług Mechanizacyjnych w Kuczyźnie, gmina Klukowo
JADWIGA PUCHALSKA, księgowa: — Powinny być związki branżowe, ale z większymi uprawnieniami niż dotychczas, potrafiące wyegzekwować od administracji to, co się pracownikom należy. Przepisy idą swoją drogą: są bardzo piękne, gładkie, a myśmy mydła na kartki nie widzieli od miesięcy. Podobnie z innymi przydziałami. — Są zakłady, w których otrzymuje się to regularnie. I co z tego, że były związki zawodowe, i to aż trzy w kraju (u nas był tylko jeden), jeśli pracownik i tak pozostawiony był samemu sobie. Jeśli dbać, to o wszystkich jednakowo, a nie dzielić na bliższych i dalszych, lepszych i gorszych.

ANDRZEJ MAKSYMOWICZ, traktorzysta: — Mnie się wydaje, że powinno być związków zawodowych więcej niż jeden, żeby pracownik miał możliwość wyboru. Będzie rywalizacja (nie bójmy się tego) i jakieś życie związkowe. Jeśli zostanie utworzony jeden, to podzieli z kilkoma miesiącami i znowu wszystko wróci do normy lat siedemdziesiątych. Nie mam pretensji do mojego przewodniczącego poprzednich

związków branżowych. On co dostał na załogę, to podzielił sprawiedliwie, ale chodzi o to właśnie, by cokolwiek na tę naszą małą załogę dostał, a na to WRZZ-owi nie zawsze starczało miejsca w pamięci.

HENRYK PUCHALSKI, mechanik: — Dyskutujemy o związkach zawodowych, gdy są one zawieszane, a pracownicy takich małych zakładów, jak nasz, zdani są na łaskę i niełaskę. Niby działają komisje socjalne, ale co one mogą zrobić? Skąd wziąć te artykuły na pokrycie potrzeb? Pracujemy przy smarach i olejach, a ręce pewnie mamy myć żywirem i piaskiem, bo mydła ani ręczników nie otrzymujemy już od dwóch lat. Kiedyś upomniałem się o to na naradzie, usłyszałem: „Na razie nie ma”. I to „na razie” trwa już drugi rok. Moim zdaniem: związki powinny być branżowe, ale silne, z możliwością wyegzekwowania należności socjalnych choćby od samego premiera.

STANISŁAW MARCINIAK, traktorzysta: — Jeden, ale dobry, choć kilka dobrych też może być. Nie może być tylko takiej sytuacji, jak obecnie: związki są zawieszane, a pracownicy muszą pracować tak, jakby nic nie zaszło, nic nie zawisło.

sprintem przez boiska

W ubiegłą niedzielę w Łomży spotkały się jednostki miejscowego ŁKS-u i „Gromu” z Czerwonego Boru. Mecz zakończył się szczęśliwym zwycięstwem gospodarzy 2:0 (2:0). Bramki zdobyli: w 43 minucie z karnego Maciej Ruszczyk (rozgrywający w barwach ŁKS-u swój trzysetny mecz) oraz — w 44 minucie — Górski, lokując w siatce piłkę odbitą od poprzeczki po strzale Lemańskiego. Na wyróżnienie zasługuje, oprócz Ruszczyka, również bramkarz gospodarzy Kulesza. Mecz nie był ciekawy. Do przerwy przewagę mieli goście. Po zmianie boiska gra się wyrównała. W przekroju całego spotkania bardziej podobał się wojskowi i zastrzyli przynajmniej na remis. Łomżniakom w zwycięstwie pomogła słabo spisująca się w tym dniu trójka arbitrow z Ciechanowa. W 28 minucie za kopnięcie zawodnika bez piłki sędzia usunął z boiska Osiciłowicza (ŁKS), „nagradzając” go czerwoną kartką, a żółte kartki otrzymali: Cimochowski (ŁKS) oraz Pakuliński i Cyrański — obaj z „Gromu”.

pytania drażliwe

— Dlaczego godzinami czekają chorzy na przyjęcie przez lekarza w pogotowiu?

Lekarz Wojewódzki, Konstanty Znosko: — Bo lekarze wzywani do blawych przypadków są w terenie. Wzwanie pogotowia kosztuje 20 złotych! Każdy może bezkarnie pozwolić sobie na ten luksus. Zaradzić temu można jedynie przez polepszenie pracy przychodni rejonowych, wydłużając czas ich pracy i zwiększając liczbę lekarzy. I w tym kierunku idą nasze działania. W ub. roku powiększyliśmy kadre o 35 lekarzy i stomatologów, co daje nam 4 miejsce w kraju w tej statystyce. Poza tym lekarze pracujący w placówkach podstawowych otrzymali pewne dodatkowe zachęty w postaci większych stawek, a także możliwości otrzymania talonu na samochód, którym dokonywaliby wizyt domowych.

— Czym różni się kurs pośpieszny od „Luksu” poza ceną biletu?

Naczelnik Dyrektor Oddziału PKS w Łomży, Jerzy Broda: — Autobusy na liniach „Luks” powinny mieć rozkładane półleżące fotele; uruchamia się je na liniach dłuższych niż 150 kilometrów; zatrzymują się jedynie w większych miastach. I to są trzy różnice podstawowe. Od razu dodam, iż nasz Oddział nie uruchomił dotąd ani jednej linii tego typu. Nie mamy odpowiadającego taboru, a zasięg naszych kursów praktycznie nie przekracza wymaganej odległości. Natomiast tego, czy „Luksy” zajądzą do Łomży z innych Oddziałów rzeczywiście różni się — poza ceną — od normalnych pośpiesznych, nie mogę powiedzieć. Z sympatii jeżdżę bowiem zawsze tylko „swoimi” autobusami...

Pozostałe wyniki meczów tej kolejki rozgrywek klasy okręgowej: „Biełkietni” — „Bug” 1:1, „Ostrovia” — „Narew” II 4:1, „Mazovia” — „Olimpia” 1:1, „Mławianka” — „ZWAR” 1:0, „Makowianka” — „Płońsk” 3:2.

ogłoszenia drobne

KUPIĘ bony PKO Łomża, ul. Moniuszki 6/17 w godzinach 8—11.

K — 3074-2

SPRZEDAM Fiata 126 p (fabrycznie nowy). Wiadomość: Łomża, telefon 26-49 po 20-tej.

K — 3075

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa — Biuro Matrymonialne „Mazury”. Olsztyn 2, skr. 336.

k 2752-0

BIURO Matrymonialne „Piast” 84-300 Lębork skrytka pocztowa 22 — poleca usługi.

p 1253-00

GARAŻ murowany niedaleko ul. Moniuszki — kupię. Łomża, tel. 46-71.

p 1310-1

WYSTAWY

Biuro Wystaw Artystycznych — Salon Wystawowy, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00); wystawa plakatu filmowego ze zbiorów Grażyny Kędzielskiej.

Klub-Galeria „Pod Arkadami”, Pl. Żeglarski (czynny codziennie w godz. 12.00—16.00); wystawa malarstwa Zbigniewa Zarzyckiego.

Klub „Stale Zajęcie”, ul. Wojska Polskiego 1 (czynny codziennie w godz. 9.00—20.00, w poniedziałki w godz. 8.00—16.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 14.00—20.00); wystawa malarstwa Mieczysława Birlawa.

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych — w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00); czasowa wystawa współczesnego ludowego malarstwa na szkło zbiorów Muzeum Etnograficznego w Toruniu.

IMPREZY KULTURALNE

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: „Mał i żona” Aleksandra Fredry — spektakl Teatru Dramatycznego w Łodzi, 23 i 24 IV, godz. 16.30—18.30; Koncert Muzyki Karola Szymanowskiego — impreza Krajowego Biura Imprez Artystycznych „Pagart” (w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży), 23 IV, godz. 16.30 i 18.00; Jarmark Osobliwości i Staroci, 24 IV, godz. 11.00.

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu” — projekcja filmu Krzysztofa Zanussiego „Spirala” (w Klubie „Stale Zajęcie”), 23 IV, godz. 18.00; koncert zespołu jazzowego „Swing Session” (w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży), 24 IV, godz. 18.00; Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu” — projekcja filmu prod. CSRS „Homolko wie na urlopie” (w Klubie „Stale Zajęcie”), 25 IV, godz. 18.00; spotkanie autorskie ze Zbigniewem Zarzyckim (w Klubie-Galerii „Pod Arkadami”), 28 IV, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: eliminacje konkursu piosenki dziecięcej i konkursu recytatorskiego dla dzieci, 25 IV, godz. 11.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Wąsoszku: O nagrodę Młisa Wierszonisla — konkurs recytatorski dla dzieci i eliminacje konkursu piosenki dziecięcej, 24 IV, godz. 9.00.

Łomżyński tygodnik społeczny, pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefan Henzelowa — zastępcą redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Henryk Gała, Wiesław Kowalski, Adam Jerzy Socha, Władysław Toki, Danuta Wroneńska, Aleksander Wroneński, Stanisław Zieliński, Stanisław Zagórski, Jerzy Bielecki, Bronisław Golebiowski, Jacek Gruh, Wiesław Janicki, Andrzej Kozłara, Piotr Kuniewicz, Jan Kwasowski, Tomasz Plotkowski, Andrzej Podulak, Zbigniew Siedlecki, Waldemar Szulc, Wiktor Tchorzewski, Wojciech Woźniak, KONCUP-CJA GRAFICZNA — Marek Goebel, ADRES REDAKCJI, ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża, tel. 42-43, 42-44, 42-45, 42-46, 42-47, 42-48, 42-49, 42-50, 42-51, 42-52, 42-53, 42-54, 42-55, 42-56, 42-57, 42-58, 42-59, 42-60, 42-61, 42-62, 42-63, 42-64, 42-65, 42-66, 42-67, 42-68, 42-69, 42-70, 42-71, 42-72, 42-73, 42-74, 42-75, 42-76, 42-77, 42-78, 42-79, 42-80, 42-81, 42-82, 42-83, 42-84, 42-85, 42-86, 42-87, 42-88, 42-89, 42-90, 42-91, 42-92, 42-93, 42-94, 42-95, 42-96, 42-97, 42-98, 42-99, 42-100, 42-101, 42-102, 42-103, 42-104, 42-105, 42-106, 42-107, 42-108, 42-109, 42-110, 42-111, 42-112, 42-113, 42-114, 42-115, 42-116, 42-117, 42-118, 42-119, 42-120, 42-121, 42-122, 42-123, 42-124, 42-125, 42-126, 42-127, 42-128, 42-129, 42-130, 42-131, 42-132, 42-133, 42-134, 42-135, 42-136, 42-137, 42-138, 42-139, 42-140, 42-141, 42-142, 42-143, 42-144, 42-145, 42-146, 42-147, 42-148, 42-149, 42-150, 42-151, 42-152, 42-153, 42-154, 42-155, 42-156, 42-157, 42-158, 42-159, 42-160, 42-161, 42-162, 42-163, 42-164, 42-165, 42-166, 42-167, 42-168, 42-169, 42-170, 42-171, 42-172, 42-173, 42-174, 42-175, 42-176, 42-177, 42-178, 42-179, 42-180, 42-181, 42-182, 42-183, 42-184, 42-185, 42-186, 42-187, 42-188, 42-189, 42-190, 42-191, 42-192, 42-193, 42-194, 42-195, 42-196, 42-197, 42-198, 42-199, 42-200, 42-201, 42-202, 42-203, 42-204, 42-205, 42-206, 42-207, 42-208, 42-209, 42-210, 42-211, 42-212, 42-213, 42-214, 42-215, 42-216, 42-217, 42-218, 42-219, 42-220, 42-221, 42-222, 42-223, 42-224, 42-225, 42-226, 42-227, 42-228, 42-229, 42-230, 42-231, 42-232, 42-233, 42-234, 42-235, 42-236, 42-237, 42-238, 42-239, 42-240, 42-241, 42-242, 42-243, 42-244, 42-245, 42-246, 42-247, 42-248, 42-249, 42-250, 42-251, 42-252, 42-253, 42-254, 42-255, 42-256, 42-257, 42-258, 42-259, 42-260, 42-261, 42-262, 42-263, 42-264, 42-265, 42-266, 42-267, 42-268, 42-269, 42-270, 42-271, 42-272, 42-273, 42-274, 42-275, 42-276, 42-277, 42-278, 42-279, 42-280, 42-281, 42-282, 42-283, 42-284, 42-285, 42-286, 42-287, 42-288, 42-289, 42-290, 42-291, 42-292, 42-293, 42-294, 42-295, 42-296, 42-297, 42-298, 42-299, 42-300, 42-301, 42-302, 42-303, 42-304, 42-305, 42-306, 42-307, 42-308, 42-309, 42-310, 42-311, 42-312, 42-313, 42-314, 42-315, 42-316, 42-317, 42-318, 42-319, 42-320, 42-321, 42-322, 42-323, 42-324, 42-325, 42-326, 42-327, 42-328, 42-329, 42-330, 42-331, 42-332, 42-333, 42-334, 42-335, 42-336, 42-337, 42-338, 42-339, 42-340, 42-341, 42-342, 42-343, 42-344, 42-345, 42-346, 42-347, 42-348, 42-349, 42-350, 42-351, 42-352, 42-353, 42-354, 42-355, 42-356, 42-357, 42-358, 42-359, 42-360, 42-361, 42-362, 42-363, 42-364, 42-365, 42-366, 42-367, 42-368, 42-369, 42-370, 42-371, 42-372, 42-373, 42-374, 42-375, 42-376, 42-377, 42-378, 42-379, 42-380, 42-381, 42-382, 42-383, 42-384, 42-385, 42-386, 42-387, 42-388, 42-389, 42-390, 42-391, 42-392, 42-393, 42-394, 42-395, 42-396, 42-397, 42-398, 42-399, 42-400, 42-401, 42-402, 42-403, 42-404, 42-405, 42-406, 42-407, 42-408, 42-409, 42-410, 42-411, 42-412, 42-413, 42-414, 42-415, 42-416, 42-417, 42-418, 42-419, 42-420, 42-421, 42-422, 42-423, 42-424, 42-425, 42-426, 42-427, 42-428, 42-429, 42-430, 42-431, 42-432, 42-433, 42-434, 42-435, 42-436, 42-437, 42-438, 42-439, 42-440, 42-441, 42-442, 42-443, 42-444, 42-445, 42-446, 42-447, 42-448, 42-449, 42-450, 42-451, 42-452, 42-453, 42-454, 42-455, 42-456, 42-457, 42-458, 42-459, 42-460, 42-461, 42-462, 42-463, 42-464, 42-465, 42-466, 42-467, 42-468, 42-469, 42-470, 42-471, 42-472, 42-473, 42-474, 42-475, 42-476, 42-477, 42-478, 42-479, 42-480, 42-481, 42-482, 42-483, 42-484, 42-485, 42-486, 42-487, 42-488, 42-489, 42-490, 42-491, 42-492, 42-493, 42-494, 42-495, 42-496, 42-497, 42-498, 42-499, 42-500, 42-501, 42-502, 42-503, 42-504, 42-505, 42-506, 42-507, 42-508, 42-509, 42-510, 42-511, 42-512, 42-513, 42-514, 42-515, 42-516, 42-517, 42-518, 42-519, 42-520, 42-521, 42-522, 42-523, 42-524, 42-525, 42-526, 42-527, 42-528, 42-529, 42-530, 42-531, 42-532, 42-533, 42-534, 42-535, 42-536, 42-537, 42-538, 42-539, 42-540, 42-541, 42-542, 42-543, 42-544, 42-545, 42-546, 42-547, 42-548, 42-549, 42-550, 42-551, 42-552, 42-553, 42-554, 42-555, 42-556, 42-557, 42-558, 42-559, 42-560, 42-561, 42-562, 42-563, 42-564, 42-565, 42-566, 42-567, 42-568, 42-569, 42-570, 42-571, 42-572, 42-573, 42-574, 42-575, 42-576, 42-577, 42-578, 42-579, 42-580, 42-581, 42-582, 42-583, 42-584, 42-585, 42-586, 42-587, 42-588, 42-589, 42-590, 42-591, 42-592, 42-593, 42-594, 42-595, 42-596, 42-597, 42-598, 42-599, 42-600, 42-601, 42-602, 42-603, 42-604, 42-605, 42-606, 42-607, 42-608, 42-609, 42-610, 42-611, 42-612, 42-613, 42-614, 42-615, 42-616, 42-617, 42-618, 42-619, 42-620, 42-621, 42-622, 42-623, 42-624, 42-625, 42-626, 42-627, 42-628, 42-629, 42-630, 42-631, 42-632, 42-633, 42-634, 42-635, 42-636, 42-637, 42-638, 42-639, 42-640, 42-641, 42-642, 42-643, 42-644, 42-645, 42-646, 42-647, 42-648, 42-649, 42-650, 42-651, 42-652, 42-653, 42-654, 42-655, 42-656, 42-657, 42-658, 42-659, 42-660, 42-661, 42-662, 42-663, 42-664, 42-665, 42-666, 42-667, 42-668, 42-669, 42-670, 42-671, 42-672, 42-673, 42-674, 42-675, 42-676, 42-677, 42-678, 42-679, 42-680, 42-681, 42-682, 42-683, 42-684, 42-685, 42-686, 42-687, 42-688, 42-689, 42-690, 42-691, 42-692, 42-693, 42-694, 42-695, 42-696, 42-697, 42-698, 42-699, 42-700, 42-701, 42-702, 42-703, 42-704, 42-705, 42-706, 42-707, 42-708, 42-709, 42-710, 42-711, 42-712, 42-713, 42-714, 42-715, 42-716, 42-717, 42-718, 42-719, 42-720, 42-721, 42-722, 42-723, 42-724, 42-725, 42-726, 42-727, 42-728, 42-729, 42-730, 42-731, 42-732, 42-733, 42-734, 42-735, 42-736, 42-737, 42-738, 42-739, 42-740, 42-741, 42

*Festina lente.
Spiesz się powoli.*

(Przysłowie łacińskie)

Ludzie ze znaku Byka nie mają w sobie owej lekkości i beztroski, które są cechami Barana. Celem życia Byka jest przede wszystkim posiadanie i zachowanie bezpieczeństwa.

W języku łacińskim pieniądze nazywają się pecunia. Wyraz ten pochodzi od pecus — bydło. Zachodzi więc w tym wypadku pewna analogia między nazwą drugiego odcinka zodiaku a charakterystyką ludzi urodzonych w tym znaku.

Dla Barana na pierwszym miejscu stoi czyn, dla Byka zaś posiadanie. Uznaje on, że dla czynów i wyczynów ma Byk tylko wówczas, jeżeli w ich konsekwencji można coś zdobyć lub można powiększyć swój stan majątkowy.

Ludzie ze znaku Byka są na ogół trochę powolni i flegmatyczni. Mają dużo wytrwałości, cierpliwości i trudno ich wytrącić z równowagi. Zasadniczo jednak są we współżyciu spokojni i łagodni.

Zainteresowania Byka są na wskroś materialne. Potrafi on, jak nikt, docenić wartość dóbr doczesnych. Gdy Byk zaprosi gości, wiadomo, że jedzenie i napoje będą pierwszorzędnym.

Oprócz Byka mało kto zdaje sobie tak jasno sprawę z tego, że życie jest piękne, lecz drogie, tańsze zaś już nie takie piękne.

Charakterystyczne jest pokojowe i zgodne ustosunkowanie się Byka do świata. Nie ma w nim agresywności lub rywalizacji. Jego zdaniem świat jest po to, aby wybrać z niego co najlepsze i wykorzystać przyjemne strony życia.

Przy takim hedonistycznym nastawieniu ma Byk — to trzeba mu przyznać — także dobry gust i smak. Wie doskonale nie tylko co dobre dla podniebienia, lecz także w czym mu do twarzy, szczególnie gdy tym Bykiem jest kobieta. Ciekawe, że Byk nie lubi barw jaskrawych. Odpowiada mu natomiast pastelowa zieleń i barwy brązowe o różnych odcieniach. Baran natomiast wybiera chętnie kolor niebieski.

Większość ludzi na świecie nie jest nastawiona na robienie pieniędzy. Nie, żeby ich nie chciała posiadać, lecz ich główne zainteresowania idą w innych kierunkach. Mogą to być skłonności seksualne, dążenia do zdobycia władzy, zainteresowania naukowe, sportowe lub artystyczne. Oczywiście, że takie i inne dążenia także w konsekwencji mogą doprowadzić do zdobycia pieniędzy. O Byku można powiedzieć, że jego zainteresowania skupiają się konkretnie na posiadaniu forsy i w ogóle przedmiotów, mających wartość materialną.

Nawet, gdy Byk obierze sobie zawód odpowiadający jego wrodzonym kwalifikacjom, gdy zostanie, powiedzmy, lekarzem, muzykiem lub wojskowym, będzie kochał pieniądze, a myśli jego zawsze będą krążyły dookoła powiększenia i zabezpieczenia stanu posiadania.

Trzech marszałków Napoleona miało słońce w znaku Byka. Wśród nich Massena, o którym wiadomo, że na zajmowanych stanowiskach nakradł kosztowności i złota na sumę czteremset milionów franków. Także Dąbrowski z tego znaku, znany jako bardzo dzielny żołnierz, był bezczelnym rabusem w krajach okupowanych. Po upadku Napoleona i przegranej bitwie pod Waterloo znalazł się w niewoli, a Dąbrowski za cenę dwóch milionów franków odstąpił wojskom sprzymierzonym Paryż i wycofał się do Loare.

Faktyka postępowania Byka jest odrębna od taktyki Barana. Można powiedzieć, że jest lepsza, bo bardziej przemyślana. Baran rzuca się żywiołowo w przygodę. Byk natomiast spokojnie, wytrwale i zaciekle dąży do upatrzonego celu. Gdy go osiągnie, jak nikt potrafi utrzymać to, co zdobył. Prawdziwy kapitalista.

Rzadko zdarza się, że Byk pozna się na ludziach. Jest na to zbyt egocentryczny, zapatrzony w siebie. Łatwo więc można go oszukać, że sparywszy się raz i drugi, bardzo ostrożnie dobiera sobie znajomych i przyjaciół. Mimo to, daje się nieraz wywieść w pole, co go nastraja jeszcze bardziej podejrzliwie do bliźnich. W ten sposób może zrazić sobie ludzi rzeczywiście mu życzliwych.

Aby więc w miarę możliwości uniknąć pomyłek, Byk stosuje dziw-

na metodę: ma zaufanie do ludzi mających powodzenie, a nieszczęśliwcom, którym wiatr wieje w oczy, schodzi z drogi z daleka. Zdarza się więc, że będzie chciał udzielić pomocy koledze, który jej nie potrzebuje, natomiast odmówi potrzebującemu pechowcowi.

Podobnie jak ludzie z Barana, Lwa i trochę ze Skorpiona, jest Byk nastawiony egocentrycznie do otoczenia i uzurpuje sobie chętnie prawa i przywileje, których innym by nie przyznał. Może być w takim wypadku nawet bezwzględny, tyranizować otoczenie, stając się nie lubianym, mimo że w gruncie rzeczy Byk jest dobroduszny.

jakiejś samodzielnej kariery życiowej — chyba, że jest śpiewaczką. Celem życia tych pań jest zamążpójście. I choć w młodości są one skłonne do flirtów, jako żony są przykładne i wierne. Wynika to w sposób naturalny z ich pierwotnych skłonności: chęć posiadania, pragnienie własności, przenoszą się w dziedzinę małżeństwa. Oto teraz mąż i dzieci są jej własnością. Zatem w jej własnym interesie leży zachowanie w domu zgody, harmonii i pogodnego zadowolenia. Taki jest podświadomy bieg myśli pań ze znaku Byka.

Osoby z tego znaku uwielbiają pieniądze, posiadanie rzeczy cen-

BYK

21.IV – 21.V

Piekielniki, zmęczone stałymi utarczками z elementami antyzłymi, odstąpił, na urlop. Zastąpił je w tym numerze postać niebios, przynosząc horoskop dla tych, którzy zostali poczęci w okresie 21 lipca — 21 sierpnia, a ujrzeni świat w terminie. Polecamy się również wszystkim Bliźniętom, Rakom, Lwom, Pannom, Wągrom, Skorpionom, Łucznikom, Koziorożcom, Wodnikom, Rybom i Baranom — dla nich także opublikujemy horoskop, ale dopiero wtedy, gdy nam to gwiazdy polecą.



Osoby z tego znaku mają wrodzone poczucie kształtu i barwy. Może właśnie dlatego spotykamy u nich dość często tendencje artystyczne, zwłaszcza w kierunku rzeźbiarstwa, malarstwa i architektury wnętrz.

Talenty muzyczne prawie zawsze wydają śpiewaków, szczególnie tenorów i sopranistki. Wielu znanych śpiewaków operowych ma słońce w znaku Byka lub przynajmniej znak ten podczas ich urodzin znajdował się na wschodnim horyzoncie. Panie te lubią dobrze zjeść oraz mają panicką obawę przed chorobą i nieszczęściem. One także uzurpują sobie przywileje, których by nie przyznały innym członkom zespołu.

Na nieco niższym poziomie będą się artystyczne skłonności Byka przejawiały zamiłowaniem do modelarstwa, dekoratorstwa, projektowania sukien, przedmiotów artystycznych etc. Rzadko natomiast spotyka się w tym znaku zdolności literackie.

Dziewczęta urodzone w Byku są urocze i pełne wdzięku, często ładne. Tak jak Baran „podlega” Marsowi, tak Byk jest „spowinowacony” z planetą Wenus, symbolizującą wszystko, co okrągłe, kształtne, gładkie, łagodne, uległe, mówiąc krótko: wszystko, na co składa się pierwiastek żeński.

Dziewczęta ze znaku Byka mają podkreślone kobiece cechy, okrągłe policzki, zadarty nosek i wszędzie właściwe zaokrąglenia. Ruchy mają spokojne, pełne harmonii. Bardzo rzadko zdarza się, że któraś z tych dziewcząt dąży do emancypacji, do

nych, wartościowych. Lubią dobre jedzenie, dobre napoje, komfort, wygodę, spokój, dobry sen, świadomość, że powodzi im się lepiej niż sąsiadom. Bardzo sobie cenią ładnie urządzone mieszkanie, które w dodatku można traktować jako swe małe królestwo i gdzie można rządzić trochę według własnego kaprysu. Mają także upodobanie do wszystkiego co ładne, miłe, przyjemne, pogodne, co wywołuje zadowolenie.

Byk stara się unikać wszelkich pechowców, prześladowanych przez los, wszystkich ludzi chorych (oba wa zarażenia się). Także nie lubi walki bez ścisłego określonego celu materialnego. Nie cierpi cyganerii, braku solidności, niezdeterminowania, niepewności oraz odnosi się z niechęcią do każdego, kto zechciałby narzucić mu swoje zdanie, kto spróbuje wytrącić go z równowagi lub kto staje mu w opozycji.

Idealem Byka jest harmonijne współżycie. Jego największym osiągnięciem życiowym będzie pokonanie głęboko w sobie zakorzenionego materializmu. Jeśli tego dokáže, będzie miał przed sobą szeroki horyzont otwarty dla dużych możliwości. W pierwszym wypadku ambicje jego nie sięgną poza zaspokojenie podstawowych czynności fizjologicznych.

Ludzie z tego znaku nie są nowatorami. Nie mają także zainteresowań rewolucyjnych, chyba teoretycznie. Wierzą raczej w to, co już wypróbowane. Po co nam nowości? Czy nie lepiej poprawić, udoskonalić to co stare i znane?

Mówi się, że przedstawiciele znaku Byka są nieraz egoistami. Trochę w tym prawdy, bo osoby te dążą przede wszystkim do zapewnienia bytu sobie i rodzinie, do uciulania pieniędzy na czarną godzinę. Kobiety z tego znaku, nawet gdy są zakochane, będą się interesować zawodem swego lubego, będą dowiadywać się, ile zarabia i czy przypadkiem nie jest lekkoduchem.

Mężowie z Byka cenią sobie spokój domowy. Lubią, gdy się o nich dba, pamięta o ich upodobaniach, smacznie im gotuje i troszczy się o ich wygodę. A więc: dobra kuchnia, lecz nie za tłusta, bo ludzie z tego znaku mają skłonności do obirstania w sadelko. Pewna trudność w tym, że panowie ci niechętnie rozstają się z pieniędzmi. Są natomiast wniebowzięci, gdy im żona udowodni, że jest gospodarną, oszczędną i potrafi ładnie się ubrać niewielkim kosztem.

Żony ze znaku Byka są mile i zgodne we współżyciu, chętnie jednak wysuwają się w małżeństwie na pierwszy plan. Nie bądną małostkowi. Jeżeli kobieta ma odpowiednie kwalifikacje, możemy jej zaufać i rządy domowe złożyć w jej ręce, zwłaszcza, że większość pań ze znaku Byka jest gospodarną. Zresztą niewiele potrzeba czasu, aby się przekonać, iż bez obaw można pani Byk powierzyć domowe dochody. Będzie nimi zawiadywać i gospodarzyć oszczędnie i rozsądnie, patrząc podejrzliwie, czy mąż nie odłożył sobie za wiele na wydatki z kolegami.

Byk jako mąż jest zawsze mile widziany. Wierny, stały, uczuciowy, od żony nie wymaga przebiegów wybitnego intelektu. Wystarczy mu, że będzie ona oddana i że będzie miała zalety dobrej gospodyni domu.

Podobne usposobienie ma pani Byk. Jej ideał życiowy to mąż i dzieci. Motylkowatych skłonności, widywanych w niektórych innych znakach, pani Byk nie rozumie. U niej zmysły muszą iść w parze z uczuciem. Jest wierna, lecz zazdrosna. Zainteresowania intelektualne ma dość ograniczone.

Czułości Barana są agresywne, despotyczne, gwałtowne, nie znoszące sprzeciwu. Natomiast karesy miłosne Byka cechuje delikatność, łagodność, subtelność i erotyczne wyczucie.

Życie seksualne Byka jest podkreślone dość wyraźnie. Należy jednak pamiętać, że na drodze do „zapomnienia się” stoi strażnik: silne rozwinięte uczucie rodzinne. Z tego też względu typy z tego znaku przestrzegają wierności małżeńskiej. Przyjemności współżycia erotycznego Byk chętnie uzupełnia rozkoszami gastronomicznymi.

Dzieci ze znaku Byka to często małe chytruski, umiające okrężnymi drogami dochodzić do celu i w ten sposób przeprowadzać u rodziców swe postulaty. Tu rodzi się większość łasuchów i amatorów objadania się ponad miarę.

O dzieciach ze znaku Byka można powiedzieć, że mają nieraz trochę spóźnioną reakcję. Wyrażając się popularnie mają lekko „spóźniony zapłon”. Nie miejmy do nich o to pretensji. Są za to bardzo staranne i dokładne, i tak równoważą brak błyskotliwości, w czym przodują na przykład dzieci z Bliźnięt.

Na prawdziwą, bezinteresowną przyjaźń Byka nie ma co liczyć. Jest on na to zbyt egocentryczny, zbyt wyrachowany. Stosunki z ludźmi lubi Byk rozpatrywać pod kątem widzenia trzeźwej, handlowej kalkulacji. — Co będę miał z tego? Czy przyjaźń ta mi się jakoś opłaci? — Na czyste uczucie przyjaźni Skorpiona lub Wodnika patrzy Byk podejrzliwie i z niedowierzaniem.

URODZENI W ZNAKU BYKA:

Franz Léhar, kompozytor	30 kwietnia 1870
Henryk Sienkiewicz	4 maja 1846
Audrey Hepburn, aktorka	4 maja 1929
Stanisław Moniuszko	5 maja 1819
ks. Józef Poniatowski, generał	7 maja 1769
Marina Vlady, aktorka	10 maja 1938
Jan Kiepura, śpiewak	16 maja 1902
Bernard Russel, matematyk, filozof	18 maja 1872
Nelly Melba, śpiewaczka kolorat.	19 maja 1861
Honoré Balzac, pisarz	20 maja 1799
Maria Konopnicka	24 maja 1842